

Dziś w numerze: ● Łódź na skrzyżowaniu dróg ● Spowiedź dziecięcia wieku
● Kolumna młodych ● Którędy droga do sławy? ● Pogarda dla kina
● Marsjanie ● Recenzje ● Felietony ● Polonica

odgłosy



Nr 11 (425)
19. III. 1967 r.
10 stron
Cena 1 zł

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK X

KRZYSZTOF POGORZELEC

EKONOMIA w krainie longplay'u

Niemen, Villas, Santor, Szczepanik... Jutro kolejność może się zmienić. Jak w piłkarskiej lidze: Rzeszewski zrobi w TV nowy program, zapowie sam „LK” i w wieczornej krainie longplay'u wybuchnie nowa gwiazda nagrana w systemie Hi-Fi z szybkością 33 obrotów.

Czarne krążki z kopolimeru winylu, muzyczne konserwy, zaczarowany świat od ye-ye przez arie z Klepury po Pendereckiego. PŁYTY.

Zejdźmy na ziemię. Oczywiście — chodzi o polską płytę.

Tutaj — UWAGA: wszystkim, którzy spdziewają się od autora nieniejszych dywagacji ustosunkowania się na tematy artystyczne — zaleca się zaprzestanie w tym miejscu lektury. Dlaczego?

Zapuszczamy żurawia do krainy longplay'u. Zrobimy to niejako metodą statystyczną, chciałoby się powiedzieć — na zimno, jeżeli w ten sposób można mówić o towarze, którym pośrednio — powiedzmy — jest dyspozycja strun głosowych pani Violetty. Fotografujemy i odtwarzamy. Czy tylko?

Bądźmy jednak dobrze wychowani. Więc PREZENTACJA, czyli z kim mamy do czynienia?

To jest pewnik. Choć z drugiej strony wiele przemawia za tym, że jest to jeden z tych naszych przemysłów, które działają, rozwijają się, spełniają ważne funkcje zaopatrzeniowo-rynkowe, żyjąc nieco na wariackich papierach. Bo:

jest ich trzy.
Polskie Nagrania
Veriton
Pronit.

To są znaki wywoławcze polskich wytwórni, a raczej tłoczni, płyt muzycznych. Nie, przepraszam, zapomniałem: trzeba koniecznie do tej trójcy doliczyć kilku, a może nawet kilkunastu prywatnych producentów pocztówek dźwiękowych, zawsze — z najnowszymi przebojami Radia Luxemburg, zawsze od 10 do 30 polskich zetał. (zatwierdzone przez WKC poz. 15/17/226-63) stemplek firmowy — Irena Józwiak, Grodzisk, ul. Nadarzyńska. Też wytwórca, też się liczy. Niekiedy bardzo — jako konkurent. Ale o tym — potem. Na razie cisza, II silenzio. Mówić na trąbkę.

Wróćmy jednak do tamtej wielkiej trójki.

„Polskie Nagrania” (Ministerstwo Kultury) — około 3.700 tys. płyt.

„Pronit” (Ministerstwo Przemysłu Chemicznego) — ponad 2 miliony sztuk.

„Veriton” (Zjednoczone Zespoły Gospodarcze — PAX) — około 400 tys. płyt.

Tak więc łącznie, nie licząc ogromnej masy pocztówek dźwiękowych, nasi krajowi producenci tłoczą z kopolimeru winylu nieco więcej niż 6 milionów płyt rocznie: jeden czarny krążek na 5 statystycznych obywateli Peerel.

„Dużo, mało?”

Musimy zrobić unik. Brak danych do porównań, powiedzmy do najbliższych nawet sąsiadów z południa, czy zachodu, których płyty za znakiem firmowym „Supraphon”, „Electrecord” czy „Amig” cieszą się u nas dużym wzięciem.

Więc — poddajemy się?

Chyba jednak warto pokazać na przykładzie jednej wytwórni to, co się stało z polskim przemysłem płytowym, przemysłem, który, jak chce teoretyk i filozof kultury masowej — Edgar Morin, jest jednym ze „znaków czasu”. Tak więc, jak podaje Władysław Dudziński, na przestrzeni minionych 20 lat produkcja płyt w jednej tylko z trzech naszych wytwórni i tłoczni — myślimy o „Polskich Nagraniach” — wzrosła, bagatela, 388 razy, licząc w sztukach, natomiast gdyby wziąć czas potrzebny do odtworzenia płyt wyprodukowanych w r. 1965 w stosunku do ilości płyt uzyskanych 20 lat temu — zwiększył się produkcję tego (czy można tak mówić?) kulturalnego towaru 537 razy.

Sporo. Dla pełnego obrazu ekonomii krainy longplay'u trzeba koniecznie dodać, że przemysł czarnych krążków z winylu jest jednym z najbardziej rentownych i przynosi sporą akumulację. Odwołując się znowu do Władysława Dudzińskiego i na jego odpowiedzialność podać, rzecz zgoła niewiarygodną. Słuchajcie:

Polskie wytwórnie płyt były niezwykle opłacalne i np. jednym przemysłem, który pod tym względem był lepszy, był przemysł spożywczy, a np. „płyty” pozostawiały daleko w tyle takich potentatów akumulacji i wydajności, jak przemysł włókienniczy, skórzany, obuwniczy czy odzieżowy!

Alę nie! Nie agituje za zastąpieniem krążkami z kopolimeru winylu rajstop helanco! Uchowaj Boże! Tak tylko „wychodzi” i jako zjawisko — rzecz godna uwagi,

Dalszy ciąg na str. 5



Czas czy pieniądze?

„Miernikiem bogactwa będzie
nie czas pracy, lecz czas wolny”.
(KAROL MARKS)

„Czas to pieniądz”.

(angielskie)

— Jak gospodarujemy czasem my, Polacy? Bogaci jesteśmy w czas, czy biedni? Z pytaniami tymi zwracamy się do kierownika Katedry Pedagogiki Społecznej Uniwersytetu Łódzkiego — prof. dr Aleksandra Kamińskiego.

— Ilość czasu wolnego — czasu przeznaczanego na pracę zależy od wieku, płci, stanu cywilnego, rodzaju wykonywanej pracy, wykształcenia oraz indywidualnych potrzeb i zarazem zdolności gospodarowania czasem. I tak np. w ogóle nie dysponują czasem wolnym lub mają go w bardzo małych ilościach matki w rodzinach wielodzietnych. Niedobór czasu wolnego odczuwają także ludzie pracujący na więcej niż jednym etacie oraz z reguły wszystkie żony i matki. Niewiele mamy jeszcze badań pozwalających określić liczbowo wielkość czasu wolnego, którym dysponują dziś Polacy. Dość duża grupa osób przebadano pod tym względem jedynie w Warszawie. W tym celu wylosowano z pełnej kartoteki mieszkańców stolicy 1969 nazwisk osób powyżej 18 roku życia. Wyniki stwarzają więc już pewną podstawę do uogólnień. Oto one:

Czas wolny	Liczba zebranych ankiet		
	Razem 1969	Mężczyźni 763	Kobiety 1147
Nigdy lub prawie nigdy nie dysponują czasem wolnym	26,6%	21,2%	30,2%
Raz lub parę razy w tygodniu	6,4%	6,8%	6,2%
Codziennie, najwyżej 1 godz.	12,6%	8,8%	14,2%
Codziennie, ponad 1 godz.	49,3%	57,8%	43,6%
Brak danych			pozostali

Dalszy ciąg na str. 3

ZE ŚWIATA

Neoficjalna, przyjacielska wizyta Władysława Gomułki i Józefa Cyrankiewicza na Węgrzech, przyjazd do Polski w celu podpisania układu o przyjaźni, współpracy i wzajemnej pomocy partyjno-państwowej delegacji NRD z Walterem Ulbrichtem i Willym Stophem, pobyt w Zjednoczonej Republice Arabskiej delegacji Sejmu której przewodniczący Zenon Kliszkowski, a także zapowiedzi podróży: Edwarda Ochaba do Włoch, a Adama Rapackiego do Turcji — to ważne fakty w kalendarzyku międzynarodowych kontaktów Polski. Jeszcze nie minęły trzy miesiące roku, a już strona tego kalendarzyka zapisana są gęsto. Jest to doskonała ilustracja polskiej aktywności politycznej, którą dyktuje m. in. złożoność międzynarodowej sytuacji.

W naszym przeglądzie wydarzeń powracać będziemy do tych wizerunków i dwustronnych rozmów, a tymczasem prześledźmy się znowu do Francji, gdzie w niedzielę rozegrał się drugi etap wyborów do parlamentu. Po wyborze w I turze głosowania 73 deputowanych walka wyborcza rozegrała się obecnie w 404 okręgach. W większości z nich miała ona charakter pojedynków, to znaczy na polu bitwy o mandat pozostało tylko dwóch kandydatów. Po porażeniu z federacją lewicy demokratycznej i socjalistycznej, zobowiązującym do poparcia wspólnego kandydata, komunistami konkurowali z kandydatami V Republiki w 125 okręgach, a przedstawiciele federacji — w 144.

Pierwsza tura wyborów wywodziła się wskazywać, że gaudiści odniosą zdecydowane zwycięstwo. Tymczasem stało się inaczej. Z danych jakimi rozporządzamy w chwili zamknięcia numeru, wynika, że ich większość w parlamencie zasadać się będzie na 2-3 głosach i ew. poparcie części deputowanych z ramienia innych ugrupowań. W stosunku do 43-mandatowej przewagi uprzednio jest to znaczne zmniejszenie stanu posiadania.

Jednocześnie jednak tym samym charakterystycznym towarzyszącym wyborów jest zwiększone poparcie społeczeństwa dla Francuskiej Partii Komunistycznej. Na tej kandydatów w I etapie wyborów, kiedy to obok komunistów samodzielnie występowali kandydaci federacji, padło o milion głosów więcej niż przed pięciu laty.

FPK prawdopodobnie będzie miała w Zgromadzeniu Narodowym 73 miejsca, a łącznie lewica — 199.

W chwili oddawania komentarza do druku nie mamy jeszcze ostatecznego podziału mandatów w Zgromadzeniu. Za wcześniej też na wycią-

ganie kompleksowych wniosków. Chciałbym jednak zwrócić uwagę Czytelników na porażkę tzw. centrum demokratycznego Lecanuta — ugrupowania o wyraźnym profilu atlantyckim, skupiającego tych wszystkich, których od gaudiizmu odstrasza jego polityka antyamerykańska.

Obecnie w Paryżu oczekuje się zmian w rządzie i na tym — jak wynika z doniesień agencji — skupia się zainteresowanie opinii. Powszechnie przypuszcza się, że jego skład ogłoszony zostanie jeszcze przed inauguracyjną sesją Zgromadzenia, przewidzianą na 3 kwietnia.

W niedzielę odbyły się również wybory w 9 republikach ZSRR. Wyborcy oddali swe głosy na deputowanych do rad najwyższych republik związkowych i autonomicznych, a także wyłonili terenowe organy władzy. W pozostałych 6 republikach wybory odbędą się w najbliższą niedzielę.

W czasie przedwyborczego spotkania w jednym z okręgów Moskwy Leonid Breżniew dużo miejsca poświęcił obecnej sytuacji międzynarodowej. Zwrócił uwagę na ten fragment, który odnosi się do europejskiej polityki Zv. Radzieckiego. Podkreślając, iż wzrasta zrozumienie, że Europa może i powinna rozwijać problem swego bezpieczeństwa — sekretarz generalny KC KPZR przypominał cele, jakie przyswiciąją europejskiej polityce ZSRR. Są to: utrwalenie wyników II wojny światowej oraz przemian, które po niej nastąpiły, okiełznanie militarystów i odwołanie Niemiec, umocnienie bezpieczeństwa granic oraz zapewnienie warunków, umożliwiających szeroką współpracę z wszystkimi krajami.

Mówca — co niewątpliwie jest rezultatem radzieckich rozmów z wysokimi przedstawicielami niektórych krajów zachodnich w ostatnim okresie — stwierdził daleko idącą zbieżność poglądów między Wschodem a Zachodem w niedopuszczeniu Bonn do broni nuklearnej.

Duży fragment wystąpienia poświęcił Breżniew polityce NRF. Z bankrutstwa Erharda nowy gabinet zachodniemiecki nie wyciągnął prawidłowych wniosków. 3-miesięczne rządy Kiesingera wykazują, że w polityce Bonn nie nastąpiły żadne zasadnicze zmiany. Nadal, ignorując istnienie NRD, politycy zachodniemieccy złyższą absurdalne pretenzje do przemawiania w imieniu całego narodu niemieckiego. Czas najwyższy pozbyć się złudzeń i uznać europejskie fakty.

Uwypuklam te elementy wystąpienia Breżniewa, ponieważ Bonn znowu próbuje stworzyć wrażenie, że — jak pisze „Koelnische Rundschau” — „wyciąga rękę do Moskwy” i wprowadza „ręczowy klimat” do stosunków ze Związkiem Radzieckim. Wszystko to jest w dalszym ciągu rozstawianiem parawanu, za którym kryje się stara bońska polityka, niezmienną w żadnym punkcie. A dopóki tak będzie — nie może być mowy o żadnym „ręczowym klimacie”. Ten ostatni kształtują bowiem fakty, a nie słowa.

W. SŁAWSKI

CZŁOWIEK JAKO TAKI

Zapoznalem się ostatnio z analizą orzecznictwa karno-administracyjnego za rok ubiegły. Analiza dotyczy sprawowania się obywateli województwa łódzkiego. Szczegry mówiąc, nie bardzo jest czym się chwalić, w województwie łódzkim mieszka Polak krewki, skory do łamania obowiązujących norm i przepisów, niedbaluch przy tym, że aż strach pomysleć.

W ubiegłym roku nasza milicja dobrze się napracowała, wrzepiono 169.731 mandatów na sumę 6.498.774 złote, z czego można wnioskować, że za kwotę uzyskaną z samych tylko mandacików, można by corocznie budować szkołę. Z analizy wynika, że najczęściej wykroczą przeciwko porządkowi, bezpieczeństwu i zwykłej ludzkiej przyzwoitości ci popelnili znaną, panowie w wieku 30-45 lat i aż dziw bierze, że w ten sposób może działać małżeństwo. Są to przeważnie robotnicy, pracownicy umysłowi nie bliższe na tym polu, przewoźnicy za to na innym odcinku, a mianowicie w wypadkach drogowych. Duża i rosnąca grupa „rozrabiający” stanowią synowie rolników, ludzie w wieku 17-22 lat, specjaliści od burd na zabawach, najbardziej ze wszystkich sfrustrowani.

Wniosków o ukaranie przybywa. W roku 1965 napłynęło 16.901 wniosków, w ubiegłym — 19.946, temperamenty grają więc na pełny regulator. A jakie temperamenty? Rosną wykroczenia chuliganów, w ubiegłym roku oddano do ukarania 6.220 wniosków, co — rzecz prosta — nie oznacza, że tylko tylu przychwyciono chuliganów, tacy skromni to my nie jesteśmy. Wniosek może dotyczyć nawet i całej grupy.

Najbardziej jednak charakterystyczny wydaje się wzrost wypadków drogowych. Było ich ubiegłego roku 1.041, zginęło na szosach województwa łódzkiego 150 osób, w tym 13 dzieci, poranionych — 1056 osób, 717 samochodów zostało rozbitych, bądź też poważnie uszkodzonych, łączna suma strat przekracza 5,5 miliona złotych. Chodzi wszak że o tendencję, o wyraźną tendencję zwyżkową, i tu już wkraczamy w rajska dziedzinę narodowej nieodpowiedzialności. Polak nadaje się do konia karmionego owsem, z obsługą koni mechanicznych znaczenie gorzej. Rej wiodą motocykliści, po nich wypadki drogowie powodują dzieci, oczywiście, dziećmi pozbawione opieki, dalej kierowcy ciężarówek, mniej niżej się mogło wydawać powodują wypadków kierowcy samochodów osobowych. Naszych zmotoryzowanych ulanów charakteryzują następujące cechy: są nietrzeźwi, wyprzedzają nieprzepisowo, nie szanują pierwszeństwa przejazdu, a jeżdżą za szybko. Na drogach województwa przy trzymaniu ubiegłego roku 6.343 kierowców mniej lub więcej zalanych, sądom przekazano 927 spraw, Kolegium Karno-Administracyjnym 8.024 wnioski, zatrzymano 1642 prawa jazdy. Coż się tedy dzieje

na naszych szosach? Województwo łódzkie nie bije rekordów w wykroczeniach drogowych, są znacznie lepsze pod tym względem województwa. No, ale gdyby łódzkie pomnożył przez resztę — pokłose motoryzacji w Polsce mogłoby zaimponować nawet bardzo już wybrednym.

Człowiek jako taki, mieszkający w środku Polski, płaci także rokrocznie solidne gapowe. Liczba pożarów w roku ubiegłym — 1365, straty materialne — 42.581,8 tysiący złotych. Z dymem pozostało 1477 budynków, o 238 więcej niż w roku 1965, a więc i na tym polu krzywa rośnie. Któż powoduje pożary? Zazwyczaj mówi się przy takich okazjach o dzieciach, przoduja jednak dorosli. Nieostrożność dorosłych, lekceważenie elementarnych zasad bezpieczeństwa, wymieniane są na czele przyczyn pożarów. Dzieci są dopiero na trzecim miejscu. A więc — niedbalstwo, lekceważenie przepisów, brak nadzoru nad urządzeniami ogrzewniczymi, zła praca kominiarzy, nieumiejętność posługiwania się urządzeniami elektrycznymi i mechanicznymi — oto niektóre cechy mieszkańców Ziemi Łódzkiej. Rzecz prosta, nie wszystkich, lecz tych „podpadających”, rasowych hodowców czerewonego kura. W ubiegłym roku spisano 7.628 mandatów karnych za nieprzebranie przepisów przeciwpożarowych, przynus w trybie administracyjnym zastosowano 21.000 razy!

Tak więc grube tysiące mieszkańców województwa łódzkiego zasłużyły sobie na pałę ze sprawowania. Rzecz przy tym dziwna, przecież prowadził się u nas setki, jeżeli nie tysiące najrozmaitszych akcji i szkolek dobrego zachowania. Ponad 18 tysięcy odczytów o tematyce przeciwpożarowej ma swoją smutną wymowę. Słuchają ludzie, słuchają, a czerwony kur pieje. 60 tysięcy młodzieży szkolnej wzięło udział w Olimpiadzie Drogowej, prasa wojewódzka i lokalna opublikowały w ciągu roku 256 artykułów informacyjnych bądź problemowych, przeprowadzono także setki odczytów i akcji w rodzaju „O bezpieczną drogę dziecka do szkoły”. A jednak drogi nie są bezpieczne. Nie są bezpieczne zabawy, parki nocą, cały szereg lokali, gdzie człowiek jako taki zjeść dobrze nie dostanie, a może za to dostać dobrze po skórze.

Wydaje się, że miał sporo racji pewien obecokrąjowiec. Stwierdził on mianowicie, po spędzeniu u nas wakacji, że należy do krajów najbardziej łagodnych i tolerancyjnych wobec tych wszystkich, którzy rozrabiają, łamią przepisy, drwią z ogólnie przyjętych norm moralnych i obyczajowych, wiedząc, że wykpią się kilkoma setkami złotych, albo w gorszym przypadku niewielkim wyrokiem. To przecież u nas powstało złane powiedzonko — rok nie wyrok, dwa lata nie więzienie.

WIESŁAW JAZDZYŃSKI

Tkronika TYGODNIA

Byli doradca prezydenta Kennedy'ego Arthur Schlesinger wyraził pogląd, że rząd amerykański nie życzy sobie rokowań w celu położenia kresu konfliktowi wietnamskiemu w chwili obecnej. Problem polega na tym — powiedział Schlesinger — iż dla Stanów Zjednoczonych „właściwy moment dla rokowań nigdy nie nadchodzi”.

Fidel Castro: „Ażby wygrać walkę przeciwko biurokracji — rozlew krwi nie będzie, będą natomiast sankcje”.

W artykule „Owocne lata współpracy Polski i NRD”, organ SED „Neues Deutschland” pisze między innymi o zacieśniających się kontaktach i braterskiej współpracy między oboma krajami. Polska zdecydowanie odrzuca — stwier-

Wybitny ekonomista radziecki Wenzer wysunął propozycje, aby gospodarstwa rolne podobnie, jak przedsiębiorstwa przemysłowe opierały swe plany na cenie i wydajności pracy na temat kolchozów Wenzer postuluje całkowitą niezależność gospodarczą kolchozów jako organizacji rzeczywiście kierującej się zasadami spółdzielczymi.

Stany Zjednoczone udzieliły Jugosławii pożyczki w wysokości 109 milionów dolarów na budowę dróg oraz dwu hydroelektrowni.

W domach towarowych i biurowcach Japonii zatrudniane są dziewczęta, których jedynym zadaniem jest oczyszczanie przed windami i po-

Jeden z najbardziej znanych artystów — malarzy ku bańskich Raul Martinez jest autorem portretów Fidela Castro wykonanych w formie plakatowej. Krytycy hawajscy utrzymują, iż dzieła te są swoista dla Kuby postacią pop-artu. Jedno z jego najbardziej znanych dzieł dzieła 9 kwadratów po 58 cm kwadratowych, a na każdym z tych 60 widac stylizowaną twarz Castro z otwartymi ustami przemawiającego do 4 mikrofonów, na tle flagi. Barwy i zarysy flagi, pozycja i wielkość głowy Castro, a także kształt ust różnią się nieco na poszczególnych kwadratach.

Robert Kennedy wysunął propozycję wzajemnego przekazania na złom przez ZSRR i USA swych broni jądrowych pod odpowiednią kontrolą i gwarancjami oraz możliwość w jak największym stopniu ograniczenie dowład czalonych eksplozji podziemnych o dużej sile wybuchu.

Agencja Reutersa donosi z Kuby iż przeszło tam uka zwać się czasopismo „Cuba Socialista”, będące ideologicznym organem Komunistycznej Partii Kuby. Obserwatorzy w Hawanie są zdania — utrzymuje Reuter — iż takie posunięcie pozostaje w związku z dążeniem do wytworzenia w pełni spójnej teorii własnej, kubańskiej wersji komunizmu i rewolucyjnego internacjonalizmu. Wydawnictwo czasopisma zostanie przewane aż do chwili — stwierdza w lutym wydaniu „Cuba Socialista” gdy zjazd wypowie się o teoretycznych, strategicznych i taktycznych problemach światowego ruchu rewolucyjnego oraz o budowie socjalizmu i komunizmu.

Ulotki kolportowane w Pekinie informują, że Mao Tse-tung miał się wypowiedzieć przeciwko powoływaniu komunijskich i oświadczyć, że Chiny nie stana się federacją komun ludowych.

Amerkańskie czasopismo „Look” opublikowało artykuł, w którym daje wyraz głębokiemu zaniepokojeniu z powodu tendencji politycznych NRF oraz groźby odrzucenia się hitleryzmu w tym kraju.

Wyniki ankiety przeprowadzonej w NRF wskazują, że obecny kanclerz Kiesinger jest o wiele bardziej popularny niż jego poprzednik Adenauer i Erhard. Politycy Kiesingera aprobują dwie trzecie ludności NRF.

Agencje donoszą z Pekinu, że rewolucja kulturalna nie osiągnęła swych zasadniczych celów. Pod naciskiem wydarzeń Mao Tse-tung zmużony został do zajęcia kompromisowego stanowiska wobec starej kadry partyjnej. Arbitrem sytuacji stała się armia. Ze sceny politycznej znikną Lin Biao jako potencjalny następca Mao Tse-tunga. Umacnia się natomiast wpływ i pozycja Czou En-laj. Mówi się o nim jako o człowieka przyszłości.

Francuski dziennik „Monde” podaje, iż w Albanii „dojrzała” mała rewolucja kulturalna — z pewnym opóźnieniem i nie bez wahań, ale niewątpliwie. Wyrazem tej tendencji jest np. legalficacja gazetek ściennych i plakatów, w których poddaje się krytyce różne zjawiska życia społecznego.



Zwycięstwo — to ja! (Die Welt)

dzia dziennik — materialne przynęty oferowane przez NRF, które miały na celu umożliwienie Republice Federalnej wchłonięcia NRD. Z taką samą konsekwencją Polska zajęła stanowisko wobec nowej wschodniej polityki Kiesingera, demaskując do dna brudną bońską grę oraz stojąc twarde na stanowisku niezbędności uznania przez NRF granic na Odrze i Nysie; zrzeczenia się rozszerezenia w łączności reprezentowania ciałych Niemiec oraz wyrzeczenia się broni atomowej.

zdrawianie klientów. Dziewczęta te pilnują również secho ruchomych ostrzegając klientów przed potknięciem się.

Podczas debaty nad polityką zagraniczną w parlamencie szwedzkim duża grupa deputowanych wypowiedziała się za normalizacją stosunków między Szwecją a NRD. Deputowani zarzucali rządowi, iż ulega w swej postawie wobec problemu niemieckiego wplywom „statycznego myślenia”.

Minister spraw zagranicznych CHRŁ Czen I: „Uzbrojony w myśl Mao Tse-tunga 700-milionowy naród chiński uważnie śledzi rozwój wypadków w Wietnamie i zawsze gotów jest do udzielenia jeszcze większej pomocy i poparcia walczącemu w słusznej sprawie narodowej wietnamskiemu. Wbrew burzom narody Chin i Wietnamu pozostaną zawsze zjednoczone, będą zawsze walczyły i wspólnie osiągną zwycięstwo.”

W ciągu ostatniego półtora roku w Serbii otwarto około 1100 prywatnych restauracji, kawiarni i bufetów. Większość tych placówek założono na wsi i w małych miasteczkach, gdzie społeczne przedsiębiorstwa gastronomiczne nie są zainteresowane w otwieraniu swoich filii.

Nowojorski brukowiec „Daily News” odzwierciedlając punkt widzenia i poglądy najbardziej wojowniczych kół amerykańskich zażądał natychmiastowego proklamowania stanu wojny z Demokratyczną Republiką Wietnamu.



Pirat

(Sonntag)



Fot. J. Kondratiuk

Dalszy ciąg ze str. 1

Wśród mających codziennie parę godzin czasu wolnego było 64% badanych poniżej 25 roku życia i 42%—49% w starszym wieku. Najmniejszą ilość czasu wolnego wykazali robotnicy niewykwalifikowani, a najbardziej upośledzone pod tym względem okazały się kobiety ze środowisk robotników niewykwalifikowanych. Ponad 1 godz. czasu wolnego dziennie wykazało 40% osób z wykształceniem podstawowym, a około 60% z wykształceniem wyższym.

Ponad 48 godzin tygodniowo, a więc w godzinach nadliczbowych pracuje w Warszawie 30% osób (36,6% mężczyzn i 25,2% kobiet), przy czym podejmowanie dodatkowej pracy narasta z wykształceniem (29% wśród mających wykształcenie podstawowe i 37% wśród mających wykształcenie wyższe). Przykład bardziej szczegółowy: wśród polskich inżynierów chemików 50% pracuje ponad 48 godz. tygodniowo, w tym — 30% do 60 godz., a 20% powyżej 60 godzin.

— Określenie „czas wolny” pojawia się teraz bardzo często w publicystyce i nauce. Co to właściwie znaczy?

— Przez czas wolny należy rozumieć czas, którego nie przeznaczamy na pracę zawodową (u uczniów i studentów — na zajęcia szkolne i uczelniane), na zarobkową pracę nadliczbową, na dojazdy do pracy, obowiązki domowe i rodzinne, zaspokojenie elementarnych potrzeb organizmu (sen, jedzenie). Jest to więc czas użytkowany na odpoczynek, rozrywkę i zajęcia samokształceniowe (np. dobrowolna, nie objęta obowiązkowymi rygorami nauka języka obcego, udział w występach zespołów amatorskich).

— Kto w naszym kraju posiada największe zasoby czasu wolnego?

— Wyraźnie uprzywilejowane są pod tym względem dwie kategorie ludzi: młodzież i renciści. Dysponentami sporych zasobów czasu wolnego są studenci, szczególnie mieszkający w domach studenckich. Dostają „wikł i opierunek”, oprócz nauki nie mają na ogół prawie żadnych obowiązków. W gruncie rzeczy studenci prowadzą życie urozmaicone, bogate w rozmaite formy życia towarzyskiego, rozrywkowego i kulturalnego. Tak naprawdę, to brak im czasu wolnego jedynie w okresie sesji egzaminacyjnej. Jeśli chodzi o drugą kategorię ludzi — rencistów, to obserwuje się niezmiernie charakterystyczne zjawisko: na wszelkich odczytach, pogadankach, spotyka się głównie tych ludzi. Płynię to z nadmiaru czasu wolnego większości z nich. Chcą być między ludźmi i użytkować pożytecznie, celowo swój czas. Chcą się czymś zająć. Młodzież natomiast chętniej ucieka do rozrywki lub po prostu leniuchuje.

— Czy przy dzisiejszym tempie życia i towarzyszącym mu znużeniu, przemęczeniu ludzi, odrobina lenistwa na co dzień nie powinna być naszym ideałem?

— Jak najbardziej. Pojęcie odpoczynku jako pełnego odprężenia, stanowi zdobycie przez nowoczesnego człowieka jakby prawa do lenistwa. Jeszcze przed pół wiekiem „nie nierobienie” było grzechem, sprawą wstydlivą dla człowieka pracy. Dziś jest potrzebą uznaną, uświęconą i zalecaną ze względu na higienę psychiczną. Długość czasu potrzebna do wypoczynku, przesadna pracowitość, skrzętne wykorzystanie każdej

chwili na pracę, niech świadczy taki krańcowy bardzo i nietypowy wprawdzie, lecz autentyczny i dramatyczny w swej wymowie fakt. Na skraju Skierniewic, gdzie pola stykają się z pięknym lasem, dwoje ludzi z miasta postanowiło zbudować własny domek. Zarabiali mało, budowali dom przeważnie własnymi rękami, a konieczną gotówkę dorabiali pracami dodatkowymi w swych i obcych zakładach. Oszczędzali na jedzeniu, aby zbudować ten dom. Pierwsza zachorowała kobieta. Wycieńczenie organizmu spowodowało kryzys i śmierć. W rok po niej zmarł mężczyzna. Gdy umierał, dom

bierność kulturalną i społeczną. Trzeba znaleźć miarę odpoczynku, aby go nie nadużywać ze szkoda dla swej osobowości i dla społeczeństwa, gdzie postawa bierności jest klęską społeczną.

— Jakiej formy spędzania czasu wolnego uważać można za szczególnie pożyteczne, a jakie za specjalnie szkodliwe?

— Cennymi formami użytkowania czasu wolnego, wartościowymi bądź dla ciała, bądź dla ducha są sport, turystyka, lektura, teatr, film, telewizja (oczywiście w rozsądnych granicach), amatorstwo artystyczne, majsterkowanie, kolekcjonerstwo. Odpo-

Czas czy pieniądze?

był już prawie wykończony, brakowało tylko okien i podłóg.

— Historia ta przypomina zupełnie dowcip „zrodzony z przesadnego polskiego „autoerotyzmu” (jeśli użyć nazwy KTT dla naszej manii posiadania samochodu); dusza zapytana przez św. Piotra, jak się dostała do nieba, odpowiada — „oszczędzając na kupno samochodu”.

— Przytoczmy więc inny, bardziej typowy przykład. Badania wydatków młodzieży przybywającej do Łodzi dla nauki lub pracy wykazały, iż młodzież ta próbuje często zarobkować kosztem czasu wolnego, posuwa do najdalszych granic oszczędność na jedzeniu i urządzaniu się w nowym miejscu zamieszkania, aby móc kupić sobie modne obuwie, eleganckie pończochy, „szykowne ubranie”. Jest to rezultat dążenia do osiągnięcia nierealistycznego modelu życia, ukształtowanego między innymi przez ulubioną rozrywkę pochłaniającą młodym sporo czasu wolnego: film.

— Każdemu z nas potrzebne są chwile odpoczynku, wytężenia. Wymaga tego nasze zdrowie i samopoczucie. Ale tak jak słyszy się czasem od osób przemęczonych: „ach, żebyż to można przestać pracować!”, tak też nierzadko spotyka się zdanie: „nie wyobrażam sobie życia bez pracy przez dłuższy okres czasu — zanudziłbym się na śmierć”. Czy wynikałoby z tego, że nadmiar czasu wolnego może być tak samo szkodliwy, jak jego brak?

— Tak. Istnieje granica biernego odpoczynku, której przekroczenie zamienia plus na minus, korzyść na szkodę. Dzieje się tak przy dwojakim nadużyciu odpoczynku. Pierwsze niebezpieczeństwo polega na zbędnym wydłużeniu czasu odpoczynku — wówczas błoga potrzeba spokoju przegradza się w uciążliwą nudę. Drugie niebezpieczeństwo biernego odpoczynku polega na tak przesadnym jego kultuowaniu, iż wyłącza ono człowieka z życia społecznego i z aktywności kulturalnej. W obu przypadkach zdobyte prawo do uzdrawiającego „lenistwa” przemienia się w poniżające lenistwo autentyczne, w gnuśność duchową, w

wiednie spędzanie czasu wolnego wzmacnia często więzy rodzinne, wpływa bardzo dobrze na atmosferę domu. Np. wspólne oglądanie telewizji, rodzinne wyjazdy na wczasy, niedzielne wycieczki. Niezmiernie ciekawe jest śledzenie prawidłowości powołujących praktykowanie i przyswajanie sobie określonych modeli rozrywki i innych form spędzania czasu wolnego przez określone grupy społeczne. Tak np. środowiska robotnicze przyswoiły sobie powszechnie grę nożną i przyswajają boks, ale nie interesują się tenisem, który jest dotychczas grą środowisk inteligentnych. Telewizja traktowana jest przychylnie przez pewne grupy inteligencji, natomiast przez inne — nie. Badania prowadzone w Łodzi wykazały, że robotnicy najbardziej cenią „majówki”, na które można się wybrać z całymi rodzinami, dojechać ciężarówką lub innym środkiem lokomocji na miejsce wypoczynku, natomiast propozycje wycieczek pieszych, bodaj w postaci dojścia do miejsca majówki, przyjmują niechętnie. Wśród inteligencji pracującej majówki są znacznie mniej popularne, a wędrownictwo piesze widziane jest chętniej.

— A teraz, ta ciemna strona medalu?

— Chorobliwe marzycielstwo i nieprzystosowanie do życia, alkoholizm, chuligańskie wybryki, narkotyki — oto przykłady chorób społecznych, najbardziej szkodliwych i niebezpiecznych form spędzania czasu wolnego.

W ciągu dziesięciolecia 1953—1963 spożycie piwa na 1 mieszkańca wzrosło w Polsce z 19 litrów na 23,5 l, spirytusu i wódek z 2,1 litra na 2,5 l, wina z 1,7 litra na 4,7 l. Ludność Polski wydała w 1961 r. na wódki czyste, gatunkowe, wina i piwo około 22,8 miliarda zł, gdy w tymże roku łączne nakłady na budownictwo wynosiły około 20 miliardów. Alkohol jest więc u nas niewątpliwie wciąż jeszcze plagą społeczną. Badania wykazały, że w środowisku robotników wykwalifikowanych pije się niekiedy obficie, ale potępia się wychodzenie w stanie nietrzeźwym na ulicę, co z kolei nie wzbudza sprzeciwów, a nawet bywa apro-

bowane jako wyraz męskości w środowisku robotników niewykwalifikowanych. Jedynie wśród inteligentów sytuacja wygląda korzystniej. Przeprowadzone w Łodzi (1959 i 1961) badania dwóch grup inteligentnych: byłych żołnierzy ruchu oporu oraz studentów łódzkich uczelni wyższych (Wydziału Elektrycznego Politechniki oraz polonistyki Uniwersytetu) wykazały, iż pijący często alkohol stanowią w obydwu grupach 29%—3,5%, pijący umiarkowanie 14%—10%, natomiast pijący niewiele, tylko przy nielicznych okazjach, lub nie pijący w ogóle — około 80%.

Szacunkowo określa się, że w Polsce 15,7% osób dorosłych (mężczyzn 7,5%) nie pije żadnych trunków, a 31,7% (mężczyzn 14%) nie pije zupełnie wódki. Dla porównania: procent abstynentów w USA określany jest na około 40%.

— Z rozmowy naszej wynika, że pod względem ilości czasu wolnego stan posiadania naszego społeczeństwa jest bardzo zróżnicowany. Czy istnieją jednak pewne ogólne, wszechogarniające tendencje rozwojowe tego zagadnienia?

— Tak, są to ogólne prawidłowości typu historycznego. Czas wolny jako zjawisko masowe pojawił się dopiero w pierwszym ćwierćwieczu naszego stulecia. Przedtem jedynie warstwy uprzywilejowane dysponowały czasem wolnym, stąd nawet niektórzy socjologowie nazywają je klasą ludzi czasów (leisure class). Robotnicy i chłopcy jedynie w niedziele i święta mieli trochę czasu wolnego. W połowie XIX w. robotnicy pracowali przez 72 godz. w tygodniu (np. w Anglii, w USA). W rosyjskim zaborze Polaki jeszcze w 1890 r. tygodnie robocze w fabrykach trwały 78 godzin. Ludzie wyczerpywali się śmiertelnie w tej pracy. Hasło „trzech ósemek” (8 godz. pracy, 8 godz. snu, 8 godz. odpoczynku) wysunięto już w 1866 r. (Kongres Związków Zawodowych w Baltimore oraz Kongres i Międzynarodówki Socjalistycznej). Ale dopiero w 1919 r. doszło w Waszyngtonie do podpisania umowy międzynarodowej o ośmiogodzinnym dniu pracy. Polska była jednym z pierwszych krajów, które zaakceptowały tę umowę 18 grudnia 1919 r. Sejm Ustawodawczy ratyfikując konwencję waszyngtońską uchwalił, że tydzień pracy wynosić będzie 46 godzin. Obecne światowe tendencje rozwojowe krajów uprzemysłowionych zmierzają powoli do dalszego skrócenia tygodnia pracy. Ideałem jest tutaj 40 godzin pracy, przy dwóch dniach w tygodniu wolnych całkowicie od pracy (a więc 5 razy 8 godzin).

— Stajemy się coraz bardziej w czas wolny. Obyśmy tylko potrafili odpowiednio go wykorzystywać, z pożytkiem dla ciała i dla ducha. Oby maksyma „czas to pieniądz” stosowana była przez nas w życiu rozsądnie i z umiarem. A ja osobiście życzyłabym naszym rodakom, żeby mniej brali prac nadliczbowych, żeby rosły ich pensje, a za to malała ilość czasu wolnego, spędzanego... w pracy. Obawiam się trochę, że dzięki widocznej jeszcze tu i ówdzie zasadzie „czy się stoi, czy się leży, dwa patyki się należą” — polska specyfika w poruszanej tu problematyce byłby właśnie czas wolny w obrębie godzin pracy.

Rozmawiała: EWA SIEMINSKA

Czytelników interesujących się tą problematyką odsyłamy do ciekawej książki Aleksandra Kamińskiego „Czas wolny” („Ossolineum” 1965).

ŁÓDŹ

— na skrzyżowaniu DRÓG

Cudzoziemców sprowadzają do Łodzi ciekawość i interesy handlowe.

Ciekawi są tysiącletnich tradycji naszego narodu i naszego państwa, naszych osiągnięć w dziedzinie nauki, kultury i przemysłu.

Przestaliśmy być „ubogim krowym” Europy, stając się partnerem, z którym, chcąc nie chcąc, trzeba się liczyć.

W kontekście nieustannych przemian, zachodzących w kraju, Łódź odgrywa znaczną rolę. Nasze miasto uchodzi dziś w świecie za miasto średniej wielkości w skali europejskiej. Siedemset pięćdziesiąt tysięcy mieszkańców, centrum przemysłu włókienniczego w Polsce, siedem wyższych uczelni, kilkanaście tysięcy studentów, kilka instytutów naukowo-badawczych, prężne środowiska twórcze — naukowe, kulturalne, techniczne, artystyczne, wielkie centra handlowe i zjednoczenia.

Więc Łódź, a kontakty z zagranicą. Nie ulega wątpliwości, że i w tej dziedzinie notujemy wyraźny postęp, co z kolei wskazuje na wzrost zainteresowania naszym miastem w świecie. W szczególności Łódzkie centra handlu zagranicznego: „Confexim”, „Ce-Te-Be”, „Textilimport”, „Skórimport” oraz Zjednoczenia utrzymują rozległe kontakty zagraniczne. Nic więc dziwnego, iż przez nasze miasto przewija się tysiące cudzoziemców.

Nasuwać się pytania: ilu ich przybywa do Łodzi, po co, kim są, skąd przyjeżdżają? Z prośbą o odpowiedź na te pytania zwróciliśmy się do kierownika Samodzielnej Sekcji Kontroli Ruchu Granicznego Łódzkiej Komendy MO, majora Romana Jastrzębskiego.

— A zatem, ilu cudzoziemców przyjechało w ubiegłym roku do Łodzi i na teren województwa?

— Sporo. Podam liczby z trzech ostatnich lat, gdyż wskazują na tendencję rosnącą tych przyjazdów. I tak, w roku 1964, docelowo, do Łodzi i województwa przybyło 3516 cudzoziemców, w roku 1965 — 4505, i w roku 1966 — 4817. Łącznie 12,838 osób. Liczby te dotyczą wy-

łącznie obywateli państw kapitalistycznych. W tym samym okresie czasu przybyło do Łodzi i województwa kilkanaście tysięcy obywateli krajów demokracji ludowej.

— Liczby niebagatelne. Byli to wyłącznie przedstawiciele zagranicznego handlu?

— Nie. Służbowych przyjazdów mieliśmy około 45 procent. Reszta odwiedzała swe rodziny, zamieszkała w Łodzi lub w województwie, poza tym turyści oraz inne osoby, które przybyły w celach prywatnych. Ogółem z 72 krajów świata.

— Interesuje mnie przeciętna roczna liczba cudzoziemców, przewijająca się przez Łódź i teren województwa. Czy moglibyście mi ją podać w przybliżeniu, obywatelu majorze?

— Tak. Ogółem od dziesięciu do do piętnastu tysięcy, z tendencją wzrostu.

— W porównaniu z innymi miastami w kraju, wliczając stolicę, jest to dużo, czy mało?

— Dużo. W tej chwili byłoby mi trudno podać dokładne liczby. W każdym razie, jesteśmy pod tym względem w czołówce polskich miast. A to o czymś świadczy.

— Czy po przyjeździe do Łodzi, pozostali ktoś w naszym mieście na stałe?

— Oczywiście. Na przykład w ubiegłym roku, 48 obywateli obcych państw pozostało w Łodzi i w województwie. Są w tej liczbie, w większości, obywatele obcych krajów polskiego pochodzenia, którzy przyjechali z zamiarem pozostania na stałe. Wśród nich są również — cudzoziemcy, którzy w wyniku ożenku, czy zamażeń tutaj się osiedlili. Dla przykładu: pewien Francuz ożenił się z siostrzenicą Łódzianką, osiedlił w Łodzi. A znów piękna Angielka ożeniła się z Łódzianinem, wyszła za niego za mąż i już pozostała w Łodzi. W mieszanych małżeństwach, żony lub mężowie pochodzą z różnych krajów świata, a więc między innymi z Francji, Kanady, Stanów Zjednoczonych, Iraku, Austrii, Anglii, Jugosławii.

Do małżeństw mieszanych dochodzi nieraz w okolicznościach zgła niespodziewanych i w tempie wręcz błyskawicznym. Oto pewien Łódzianin, inżynier, i kawaler, wyjeżdża za granicę na kilkunastodniową

wycieczkę. Tam poznaje piękną cudzoziemkę, tamże staje z nią na ślubnym kobiercu i do Łodzi wraca już... z żoną.

To się nazywa mieć refleks.

— I odwagę!

— Pragnęłbym jeszcze dodać, że dotychczas, według stanu na dzień 31 grudnia, ubiegłego roku, osiedliło się w Łodzi i w województwie ogółem 956 obcokrajowców. Przybyli do nas z 26 krajów, między innymi z Włoch, Szwajcarii, Hiszpanii, Turcji, USA, Anglii...

— Czy zdarzały się jakieś niezwykle okoliczności, w których przybył z obcego kraju uzyskiwał w Polsce prawo stałego pobytu?

— Owszem. Przytoczę jeden fakt. Mamy w Łodzi rodowitego Japończyka, dziś już chyba siedemnastoletniego młodzieńca. Jego ojca, japońskiego uczonego z tokijskiego uniwersytetu, łączyły od lat więzy serdecznej przyjaźni z pewnym znanym w Łodzi naukowcem i profesorem tutejszej wyższej uczelni. Japończyk zmarł w Tokio kilka lat temu, lecz przed śmiercią poprosił swego kolegę i przyjaciela o roztoczenie rodzicielskiej opieki nad synem. Jednakże, Jego ostatniej woli stało się zadaniem. Mały obywatel dalekiego kraju przybył do naszego miasta, stał się członkiem rodziny profesora, uczył się w jednej z łódzkich szkół. Świetnie mówi po polsku.

— W jakich polskich przedstawicielstwach zagranicznych otrzymują cudzoziemcy wizy wjazdowe do Polski i czy mają z tym jakieś trudności?

— Obywatele krajów naszego obozu przyjeżdżają do Polski na mocy wkładek do dowodów osobistych.

Obywatele państw kapitalistycznych — za wyjątkiem obywateli NRF, co wyjątkiem później — otrzymują wizy wjazdowe do PRL w polskich konsulatach. Obywatele krajów skandynawskich i Austrii — w większości w konsulatach, gdyż mogą je również otrzymywać bezpośrednio na polskiej granicy państwowej. A Szwedzi, tylko Szwedzi — nawet na omięcie, który kursuje między obu naszymi krajami. Polska administracja graniczna załatwia te sprawy od ręki.

Ograniczenia dotyczą tylko obywateli Niemieckiej Republiki Federalnej, którym wizy wjazdowe do Polski, wydaje wyłącznie Misja Wojakowska PRL w zachodnim Berlinie. Ścisła instrukcja: jeśli obywatele NRF pragnie odwiedzić krewnych zamieszkałych w Łodzi, musi otrzymać od nich odpowiedni dokument, wydany w naszej sekcji, który stanowi podstawę do ubiegania się o wizę wjazdową do Polski w Misji Wojakowskiej PRL w zachodnim Berlinie.

— Co powinien zrobić cudzoziemiec, gdy już zapatrzoną w wizę wjazdową do Polski znajduje się w Łodzi?

— Przede wszystkim musi się gdzieś zatrzymać. Jeżeli prywatnie, na przykład u rodziny, główny lokator musi go zameldować, w przeciwnym razie dni od momentu przyjazdu, w Referacie Ewidencji Ludności ogólnej DRN. Jeżeli w hotelu — robi to administracja hotelu. Wspomnie nawiasem, iż do niedawna cudzoziemcy byli obowiązani rejestrować się osobiście w na-

szej sekcji. Idąc na rękę obcokrajowcom władze polskie zniosły ten przepis. Obowiązuje on nadal wyłącznie w przypadku, gdy obywatel obcego kraju pozostaje w Łodzi, lub na terenie województwa, ponad 30 dni. Nie dotyczy to obywateli krajów demokracji ludowej.

— Niedopełnienie tych formalności „kosztuje” zapewne ciężkie pieniądze?

— A tak. Niedawno kolegią orzekające ukarały kilku opieszalszych mieszkańców naszego miasta wysokimi grzywnymi.

— Czy zdarzają się w Łodzi wypadki niewłaściwego zachowania się cudzoziemców?

— Owszem. Sporadycznie. Ustawa z dnia 29 marca 1963 roku o cudzoziemcach określa normy postępowania obywateli państw obcych na terytorium naszego kraju. Zdarza się, że cudzoziemiec omija taki lub inny artykuł ustawy i wchodzi w kolizję z prawem. Stosujemy wówczas odpowiednie sankcje prawne, poczynając od grzywny, a kończąc na wydaleniu z granic kraju. Cudzoziemcy nie korzystający z dyplomatycznego immunitetu, w przypadku popełnienia przestępstwa podlega karom, przewidzianym w polskim orzecznictwie sądowym.

— Zechcełbyście podać jakiś przykład, obywatelu majorze?

— Naturalnie. Pewnego cudzoziemca, zresztą studenta wyższej uczelni łódzkiej, za notoryczne chuligaństwo wydaliliśmy z Łodzi, i oczywiście z Polski. „Ciężko skrzywdzony przez komunistyczny reżim” — jak wszem wobec opowiadał — wyładował w Szwecji. Lecz i tam, zaledwie po tygodniowym pobycie, dokonał kradzieży i został z miejsca wydalony z granic tego kraju.

W ubiegłym roku wydaliliśmy z Łodzi i w ogóle z Polski, dziewięciu cudzoziemców za nieprzebrane polskie przepisów porządkowych.

— Co mówią nasi rodacy z zagranicy o swych wrażeniach z pobytu w Łodzi?

— Przede wszystkim są zdumieni, zmianami jakie zaszły w powojennej Łodzi. Takie spojrzenie z dystansu jest dla nas mieszkańców Łodzi, bardzo interesujące. Czegoś uszy.

Naszych ziomków uderza dostojność, czystość, jakiejś szlachy, która w Łodzi przetrwała mimo trudnych warunków, że Łódź przemianała się w nowoczesne miasto przy mysłowej i wyróżnia się czystością spośród miast na Zachodzie, tej wielkości i tego charakteru. Chwalą sobie naszą kuchnię, zazdroszą nam wielu naszych zdobyczy socjalnych.

Warto podkreślić, iż ludzie ci przyjeżdżają z różnych krajów więc i wyznania poglądów na te sprawy jest bardzo szeroka.

— Trzeźwo myślą nasi rodacy. Na pewno tak jest.

— Tak. Takie sądy radują serce. Niestety, odbywam też i inne rozmowy, które wywołują rumieńce wstydu. Żeby nie być gołosownym. Oto pewien znany w Łodzi wzięty i bardzo zamożny fachowiec, zresztą na stanowisku, ma

Wujka w Ameryce. Przez całe lata pisuje do niego rozpaczliwe listy z prośbą o wsparcie, że tu nędzna, że głodno i chłodno itp. itd. Dobry wujko śle zza oceanu dolary i paczki. Aż wreszcie pewnego dnia sam zjeżdża do Łodzi. Wchodzi do mieszkania i własnym oczom nie wierzy; cztery pokoje, gabinet, nowoczesne meble, telewizor, radio, adapter, gaz, kafelki w łazience i w kuchni, pomoc domowa, „Wartburg” na podwórku. Stół nielicho zastawiony, a jakże... W wujka miejsca jakby piorun strzelił. Trzasnął pięścią w stół i zażądał zwrotu pieniężnych nakładów. Ale od słowa do słowa i jakoś się wyszło po kościach rozszło. U drogiego siostrzeńca był dwa tygodnie, przywiózł z sobą to i owo, ale niczego nie zostawił. Jak ze mną o tym rozmawiał, jeszcze spał z obu renia.

Chciałbym w tym miejscu powiedzieć jeszcze kilka słów o spotykającym tu i ówdzie schlebaniu i braku godności osobistej pewnych naszych obywateli wobec goszczących u nas cudzoziemców. Też na przykładzie. Oto któregoś dnia przyjeżdża do Łodzi wycieczka z zagranicy. Owi wspomniany obywatele, którzy niebawem nawiazali towarzyskie kontakty z uczestnikami tej wycieczki, zaczynają ich nagabywać o przysłanie określonych leków, których rzekomo w Polsce nie ma, o przedmioty codziennego użytku, o paczki z ubraniami, z bielizną, z wyprawkami dla dzieci itp. itd... A później, że tak im ciężej, że zazdrośczeni cudzoziemcom wycieczek, a ich na to nie stać, bo to, bo tamto. Aż wstyd powtarzać. Żałosna żebranina.

A na to owi cudzoziemcy: że leki w Polsce są i w dodatku wcale nie drogie, że nie są lepiej ubrani od swoich lamentujących rozmówców, a nawet gorzej. Że jest to ich pierwsza wycieczka z granicą, na którą latami musieli ciulać pieniądze, odmawiając sobie wielu innych przyjemności. A tam, skąd przybyli, pieniądze nie leżą na ulicy, lecz trzeba na nie ciężko zapracować... I tak ich odrwali z kwitkiem. Zabawne, ale żenujące.

— Może jeszcze jeden przykład?

— Proszę bardzo. Więć coś o tradycyjnej, polskiej gościnności. Pewien nasz rodak z Francji, po dwu dziesięciu latach rozłąki przyjeżdża do Łodzi, żeby odwiedzić leżącą na rodzinie i spienitować stare kąty. Gdy na Dworcu Fabrycznym wysiada z pociągu jest szczerze wzruszony, ale nie ma czasu na refleksje, bo oto już wpała w ramiona rodziny. Uścisł, bezładne słowa powitania, wreszcie taksówka i do domu. Tutaj zaraz do stołu, obiad, toasty, i jeszcze raz toasty, i tak do późnej nocy. Tymczasem na kuzyna czeka już w kolejkę dal szar rodzinna, po kładzie. Więć na zajutrz, tym razem gdzieś indziej — znów toasty. Za dwa dni to samo, za trzy podobnie i tak dalej.

Gdy po upływie dwóch tygodni wraca już do Francji i załatwia u nas formalności, wdaliśmy się w taką mniej, więcej, rozmowę:

— Jak znalazła pan Łódź?
— Owszem... Tak...
— Dostrzegła pan jakieś zmiany?
— Oczywiście... Są pewne... — odpowiedział.

Ale mówi tak jakoś dziwnie, z ociąganiem. Nie chce nie powiedzieć — myślę. Albo już zapominał, jak ta przedwojenna Łódź wyglądała. Dwadzieścia lat z okładem to jednak kawał czasu.

Gdy się już żegnamy, dłużaję przełzygnąć moją dłoń i mówię:

— Proszę pana, tyle lat marzyłem, żeby chociaż jeszcze raz zobaczyć moje rodzinne miasto. Przecież tu się urodziłem, mam tu liczną rodzinę. To kochani ludzie i dobrze im się powodzi, chcieli mnie po staropolsku ugościć, od serca. No i ugościli!... Przez czternaście dni przykleśniku, pan rozumie. Czternaście dni! Nie widziałem nigdzie nie bitem. Nie opowiadałem im o sobie, ani oni mnie o sobie. Ach, co tu dużo mówić — westchnął — odżyłem już od naszej polskiej gościnności...

— Tak, to prawda, nieraz odrobinkę przesadzimy w gościnności i tak też chyba będzie.

— Może, w każdym razie dopóki tak będzie, proponuję rzucić hasło dnia: Miecicie litość dla rodaków z zagranicy!

— I tym pogodnym akcentem...
— ...moglibyśmy zakończyć naszą rozmowę. Pozwólcie jednak, że powiem jeszcze kilka słów o przesadnej nieraz wywołaniu naszych obywateli wobec cudzoziemców. Oto niektórzy obywatele obcych państw są nadmiernie ciekawi, ale to nie znaczy, żeby tę ciekawość usłudzić zaspokajając.

— To ku namieć;
— I przestrodzę

NOTOWAŁ:

WŁÓDZIMIERZ STOKOWSKI



Fot. W. Parys

SPowiedź Dziecięcia WIEKU



— Niech się rozliczy, jak te pieniądze zużyła.

Mirgos mówi cicho, dba o to, aby ani jedno słowo jej wyjaśnienia nie doleciało do publiczności. Nawet prokurator skarży się sądownie, że nie nie słyszał w najtrudniejszej sytuacji jest protokolant.

Publiczność nie jest taka sobie, zwyczajna, przypadkowa, ciekawska. Ławy dla widzów wypełniają szczerze koledzy Mirgos z miejsca pracy. Ci sami, co przez czterysta laty powierzyli jej funkcję księgową w pożyczkowej kasie. Ci sami, co pod niebiosami wyznosili jej uczynność, ofiarności w pracy społecznej, od której każdy w przedsiębiorstwie starał się wymigać. Owszem, niektórzy brali na siebie różne funkcje, ale jak je spełniał? Bo praca w terenie, bo nawet w nocy, bo po godzinach też chcieli sobie prywatnie dokonać: kran komuś założyć, przepchnąć zatkać umywalkę.

Mirgos garnęła się do pracy społecznej i ona jedna w tym kolektywie społeczników, rozmyślających nieustannie o tym, aby mieszkańcy miasta i regionu mieli wodę, dźwigała jej podstawowy ciężar. Kiedy w przedsiębiorstwie organizowano zabawy dla pracowników, Mirgos powierzano kasę. Kiedy chorowała kasjerka przedsiębiorstwa, Mirgos dokonywała wypłat. Zawsze uczynna. To słowo powraca natrętnie w wyjaśnieniach świadków. Zawsze bezinteresowna i niezastąpiona. Teraz jednak wiemy, że nie podejmowała się swoich funkcji za darmo.

Pierwszy raz wzięła w 1956. Wiemy to od niej samej i tylko od niej. Za okres trzech kolejnych lat brak jakiegokolwiek dokumentacji finansowej kasy. Papiery, które zostały, nie przemawiają na niekorzyść oskarżonej. Za te trzy lata oskarża siebie sama. Sumy przywłaszczone w tym okresie ocenia na 30.000 złotych. Jest wyraźnie zatroskana, że nie może podać absolutnie dokładnej liczby. Jak wówczas, gdy się denerwuje, na policzku występuje jej czerwona plama. Denerwuje się rzadko. Twarz Mirgos zdaje się mówić: „Gdybym wiedziała, że to takie ważne, zanotowałabym sobie gdzieś na boku, żeby teraz podać”.

Te pierwsze przywłaszczone sumy zbiegają się w czasie z narodzinami jej panińskiego dziecka. Ojca tego dziecka nie ma na sali, przysłał tylko list, w którym prosi sąd, aby wpłynął na radę zakładową Przedsiębiorstwa Wodociągów i Kanalizacji, która bezprawnie przetrzymuje należące do niego obligacje pożyczki narodowej i stanowiącą własność dziecka książeczkę mieszkaniową z wkładem tysiąca złotych. Dociekliwy prokurator zdołał ustalić, że autor tego listu nigdzie nie pracował w ostatnich siedmiu miesiącach poprzedzających aresztowanie Bronisławy Mirgos. Znaczenie tego faktu oskarżona stara się zbagażelizować.

— Wysłałam prywatnie dziecko na dwa miesiące do kabki — mówi w odpowiedzi.

Ten pobyt leczniczy w ogólnym rachunku przywłaszczonych sum nie stanowi jakiegokolwiek zasadniczej pozycji. To zaledwie 6.000 złotych. Zresztą Mirgos nie była rozrzutna. Ostatnie lato także spędziła mimo wszystko skromnie. Nie rozbijała się po drogich lokalach, nie szukała przygód. W liście do przyjaciółki zwierza się, że chodzi na obiady do samoobsługowych barów. Prowadzą swego synka na dziką, niestrzeżoną, plażę, gdzie wstęp jest bezpłatny. W chwili aresztowania, tam właśnie, na kurorcie skonfiskowano jej książeczkę PKO z wkładem pięciu złotych i mniej niż pięćset złotych gotówki. Komornik, który przyszedł do mieszkania Mirgos zabezpieczyć rzeczy, cały stan posiadania określił na 17.000. Podstawową wartość w tym spisie przedmiotów zajmuje telewizor, niestety, nie spalony, stanowiący własność ORS. Drugą pozycją są książki, nie PKO, niestety, tylko do czytania. Komplet dzieł Londona, Żeromskiego, Sienkiewicza, Prusa, Orzeszkowej, Zapolskiej. A także 6 tomów Wielkiej Encyklopedii Powszechnej i Słownik Języka Polskiego. Czy w książkach tych szukała Bronisława Mirgos natchnienia do swego złodziejskiego procederu?

Ta niespełna czterdziestoletnia, przedwcześnie zwiędła kobieta zgadza się niemal ze wszystkim, do zdumienia potakuje, niczem nie zaprzecza. Tylko raz w jej głosie dźwięczy coś jak wyrzut:

— Bo gdyby mnie skontrolowali! Inspektor Zarządu Okręgu Związku Zawodowego przynajmniej:

— Przez czterdzieści lat istnienia kasy zapomogowo-pożyczkowej, nikt ze związku nie był na kontroli. Ale mam około 300 jednostek w okręgu do skontrolowania, a zresztą nie ja decyduję, gdzie kontrolę zarządzić. Mnie tylko wysyłają moi zwierzchnicy.

Owszem, miały miejsce kwartalne kontrole komisji rewizyjnej. Wyznaczone z góry, o których księgowy i kasjerka kasy w jednej osobie z urzędu i zawczasu była powiadomiona. Kontrole najpełniej fikcyjne w oparciu o całkowicie fikcyjne dokumenty rachunkowe.

— Bo ja prowadziłam podwójną księgowość — wyznaje Bronisława Mirgos.

Ta podwójna księgowość nie była trudna do wykrycia. Przynajmniej to teraz sam, pozabawiony już tej funkcji, przewodniczący kasy pożyczkowej, 16 albo 17 sierpnia ubiegłego roku zauważyli nieprawidłowość w potrąceniach. Mirgos, która mogłaby od ręki wszystko wyjaśnić, przebywała na urlopie. Zamiast u niej, musieli więc zasięgnąć informacji w księgach. Wyjaśnienie tych wątpliwości przeszło wszelkie oczekiwania. W szafie biurowej Mirgos znaleziono zeszyt w czarnych okładkach. Przy niektórych nazwiskach członków kasy figurujących w tym zeszytku, ręka księgowy zakreśliła czerwonym ołówkiem charakterystyczne „ptaszki”.

— Tam gdzie były te „ptaszki”, tam pieniądze zniknęły — mówi teraz niemal triumfującą świądka.

Oskarżona niczego nie taj. Obojętnym głosem powtarza raz jeszcze to wszystko, co drobiazgowo zeznała na milicji i u prokuratora. To było zupełnie proste, jakby się uśmiechnęła, to fałszowanie dokumentacji finansowej kasy. Wystarczyło w zestawieniach obrotów i sald podawać wyższe kwoty zadłużeń. No, musiała także ro-

bić fikcyjne zapisy na kontaktach osobowych członków.

— W bilansie zagarniętą kwotę ukrywałam przy przeniesieniach — informuje.

Wejść w posiadanie pieniędzy także nie było trudno. Przede wszystkim więc pobierała kwoty na własne nazwisko i nie przed stawiała na liście potrąceń przy poborach. Ale to mogłoby wzbudzić podejrzenia, tym bardziej, że niekiedy wypłaty dokonywano przez inną osobę, przez kasjerkę. Więc istniała konieczność usprawnienia tego systemu. Postanowiła wykorzystać zaufanie koleżgów.

Prosiła niektórych pracowników, żeby wzięli dla niej pożyczkę na swoje nazwisko, ona ją spłaci. Uczynnie wypełniali wnioski. Ktoż nie przyjdzie z pomocą samotnej kobiecie z dzieckiem? Rat pożyczki przy poborach nikt im nie potracił, a więc Mirgos płaci, uważa. Ci, którzy płacili sami za siebie, dopiero teraz, na procesie dowiadują się, że płacili jednocześnie za Mirgos, do Mirgosowej kieszeni. Jak to robiła?

— Potrącałam więcej rat niż wynosiło faktyczne zadłużenie. Niektórym potrącałam o cztery raty więcej.

Kiedy chętnych do pisania wniosków o pożyczkę nie stało, robiła to za nich. Fałszowała bez skrępowania podpisy, jak fałszowała całą księgowość. Bezkarność ostrzelała ją coraz bardziej, co można wyraźnie zobaczyć choćby w zestawieniu zrobionym przez prokuratora. Z roku na rok wzrastają przywłaszczone sumy. W roku 1959 — 42.670 złotych, w rok później 55.750. Potem kolejno: 71.950, 84.100, 53.400, 80.100, 90.300 i 88.600. Ta ostatnia pozycja dotyczy tylko siedmiu miesięcy. Jaką kwotę by się zamknęła na koniec roku, gdyby Mirgos nie została aresztowana na urlopie?

Ona sama stwierdza, że właściwie miała zamiar zgłosić wszystko władzom.

— Gdyby podsumowali tylko bilans za jeden rok, już by mnie wykryli — przyznaje ze skruchą.

Nie mogła tego ciągnąć w nieskończoność, a potrzeby jej, jak to stwierdza, wzrastały. Za każdym razem mówiła sobie, że to już ostatni raz, ale jakoś jej to nie wychodziło. Bała się, bo niektórzy koledzy przychodzili z pretensjami, że już spłacili pożyczkę i dalej potrąca się im przy poborach. Ale zawsze jakoś udawało jej się wprowadzić w błąd tych niezadowolonych i bez szemrania płacili dalej, a nawet przepraszali za swoje podejrzliwość. To był też system.

— Oszukiwałam tylko koleżgów ze swojego pionu, z wodociągów — tłumaczy sądownie — bo oni mi ufali. Tych z kanalizacji zostawiłam w spokoju, nie znał mnie i nie chciałam się narażać.

Wyjaśnienie to pada wówczas, gdy jeden ze świadków, pracownik pionu kanalizacji stwierdza, że nie kwitował figurującej przy jego nazwisku „chwilkówki”. Mirgos jest oburzona. Zaprzecza stanowczo:

— Z kanalizacji nigdy nie brałam!

Jest oburzona jak człowiek ucziwy. Szczególny to proces o zagarnięcie mienia społecznego. To mienie w świadomości widzów, nie jest już, jak to bywa zazwyczaj na takich sprawach, abstrakcją, własnością wszystkich i jednocześnie niczyją, którą na własne potrzeby obrócił jakiś cwaniak czy grupa cwaniaków. Tu każdy się czuje oszukany już bezpośrednio, już bardzo konkretnie, do wysokości wniesionej przez niego wkładu.

Bronisława Mirgos oczekuje na wyrok. Jest mur niechęci między nią, a tymi wszystkimi, co przyszli tu z ciekawości, niekiedy ze współczuciem i teraz, w ciągu dwóch dni przewodu, poznali gorzką prawdę. Bronisława Mirgos spokojnie oczekuje na wyrok, choć grozi jej kara dożywotniego więzienia, 10 lat pozbawienia wolności, brzmi to niemal jak łaska dla niej.

Ale 10 lat więzienia to także bardzo dużo. Dużo dla samotnej kobiety z dzieckiem, które na tyle lat się dziecko zabiera. Cios na dotkliwszy.

Ci, którzy jej nieświadomie pomagali swoją obojętnością w przestępstwie, także nie opuszcza sali sądu z dumnie podniesionymi twarzami. Nikt nie lubi, kiedy mu się palcem wytknie jego własną głupotę. Zwłaszcza, gdy nie można, nie ma jak, zaprzeczyć.

EKONOMIA w krainie longplay'u

Dalszy ciąg ze str. 1

także i dla późniejszych penetracji krainy longplay'u...

Aha, jeszcze eksport:

rok 1965 — około 800 tysięcy płyt;
rok 1966 — około 580 tysięcy płyt;
na rok bieżący „Ars Polona” — główny monopolista handlu zagranicznego muzykami konserwami, zaplanowała sprzedaż niewiele ponad 400 tysięcy polskich płyt na obcych rynkach. Odbiorcami są przede wszystkim ZSRR, NRD, USA, Anglia, a dalej idąc Japonia, Austria, Włochy i niektóre kraje Ameryki Łacińskiej.

Przypominamy: 400 tysięcy płyt na eksport. Tylko.

* * *

Coś się dzieje w państwie długiego dźwięku. Już nie chodzi nam o to, że główny eksporter „Ars Polona” robi spore wysiłki by mimo założonej obniżki, nieco choćby zwiększyć sprzedaż polskich płyt na zagranicznych rynkach i w tym celu nawiązuje kontakty handlowe z takimi potęgami longplay'u

mniej atrakcyjnym od... Szczepani-ka.

Mówią: — kariera płyty powoli się kończy. Magnetyczna taśma, magnetofon wypiera czarny krążek z muzyką konserw.

Obserwacje: Wystarczy zainteresować się którymś ze sklepów z płytami, ich klientelą. Wewnątrz sklepu — stałe oglądanie płyt, przymierzanie możliwości do chemii. Witryny przyglądają przechodniów, głównie młodych.

Mówią: — kupują. Ale więcej pocztówek dźwiękowych. To jednak tylko 10—20 zł. No i — chociaż źle nagrany, ale zawsze tam jest najświeższy przebieg.

* * *

Chyba warto podjąć temat — polskie płyty. Spójrzcie na niego od strony ekonomii, jako że z jednej strony jest to towar, ale szczególnie rodzaju, bo chodzi o towar kulturalny. Z tego właśnie względu nie tylko ekonomistom na leżałoby zwrócić uwagę na fakt niewykorzystywania przez trzy główne wytwórnice polskich płyt mocy wytwórczych, bo przecież dobra płyta to nie tylko zainteresowanie najnowszymi przebiegami tanecznymi, ale także furka do zainteresowania muzyką poważniejszą, a więc kultura pisaną z dużej litery. Nie wiem czy właśnie w tym aspekcie należałoby krytyczniej spojrzeć na owe rekordy akumulacji, jakie odnotowuje ten przemysł, a które niewątpliwie dają o sobie znać w kształtowaniu się cen

na krajowym rynku płytowym. Chyba to jest jeden z przyczynków do konkurencji stale wygrywanej przez podłe nagrane dźwiękowe pocztówki, które wchodzi do rąk młodzieży, pechaj się natrętnie właśnie ceną i najnowszym przebiegiem. Zresztą, podobno produkcja owych dźwiękowych pocztówek jest ogromnym biznesem, jako że koszt własny nie przekracza często 7 złotych i „wytwórcę” stać na „odpalenie” złotówki za każdą sprzedaną pocztówkę, w sklepie, magazynie czy kiosku „Ruchu”. Jest to w pewnym sensie konkurencja nieuczciwa, bo bijąca poniżej pasa, ale czy ona nie mówi?

Wróćmy jednak do spraw poważniejszych, przypomnijmy owe 400 tys. płyt, które zamierzamy w roku 1967 wyeksportować i skonfrontujmy to z eksportem z roku 1965, kiedy to na rynku zagraniczne sprzedaliśmy 800 tys. A więc co — regres? W kraju o jednej z najciekawszych współczesnej muzyce, tej przez duże M?

Mamy niewykorzystane moce produkcyjne. Podobno z tych względów nie warto unowocześniać istniejącej wytwórni. Prawda jest taka, że nie mogą one w aktualnych warunkach (paradoxi!) produkować płyty z utworami, które aktualnie są przebiegiem i na które w danej chwili jest ogromne zapotrzebowanie. A przecież w handlu, a płyta jest towarem, leży się czas, czas to także pieniądz. Owszem, coś nie tutaj zrobiliśmy. Kiedy „wytwórcy” Sopot to w kilkanaście ty-

godni są już płyty z nagrańmi melodii festiwalowych. Tylko, że jak „Siask” czy „Mazowsze” daje koncert w Londynie, Nowym Jorku, czy Rio, fala zachwyconych polskich muzyka słuchaczy nie znajduje w stołkach sali koncertowej polskiej płyty z nagrańmi melodiami tymi samymi, jakie przed chwilą rozbrzmiewały z estrady. Paradoxi? Niedowład czy...

Wróćmy jednak na rynek krajowy. Księgarze zrozumieli już dawno, że popyt na książkę należy kształtować systematycznie i temu m. in. służą różnego rodzaju kluby w rodzaju Klubu Interesującej Książki, serie itp. Inaczej jest jednak z przemysłem płytowym. Nie ma klubów dobrej płyty, nie ma abonamentu, nie ma jakichś form organizacyjnych zachęcających i umiających w jakieś ry-zony ogromną reszce zwolenników „czarnych krążków” z muzyką konserw. Przepaszam, coś się zaczyna robić, czyni to podobno ZMS próbując organizować z Biurem Współpracy „Opinia” kluby dobrej płyty. A przemysł, czy obok produkcji, do jego funkcji nie należy organizowanie sobie rynku i wytworzenie nawyków u swoich potencjalnych klientów?

Ekonomia w krainie Longplay'u. Chyba ekonomia niespodzianek i nieporozumień. Gorzej, — że nie tylko gospodarczych, ale chyba także kulturalnych i społecznych. Obra-cających się z szybkością 33, nagra-nych w systemie HI-FI.

KRZYSZTOF POGORZELEC

Włodzi • Włodzi • Włodzi • Włodzi • Włodzi

ANDRZEJ BISKUPSKI

nieartystycznymi sposobami poszukiwań.

ZIEMOWIT SKIBIŃSKI

Uczta kanibalów

Pokoleniu „Współczesności”

Jak smyczą tak snem wiedzeni od świtu,
Snem o człowieku — oni są zawsze jego głodni —
Stąpali niby mary u wezgliwia powalonych gór;
Skaly pękaly, księżyc otwierał ich rany,
Swierszcz uderzył w ciszę, mrówka zesłała do podziemi
i głuszę kruk napuszył nad głowami kamieni.

Jak krzak Mojżesza objawil im się stos człowieka
Rozpięty między kamieniem łupanym a homine absoluto;
Oni w nim pośrodku.

Żęby głodne wszczepili w ten ogień
Trawiacy wieki i wiekami podsycający.
Wtem wódz rzekł:

„Wpierw
wejźmy we wnętrze tej bestii,
albowiem może być zatruta”.

Jedni poszli od mózgu w dół poprzez zimne kości,
Inni od serca w górę świątynią o łukach żeber,
Znaleźli siebie pośrodku
gdzie język — — — ?

Pierwsi rzekli, że to rzeka nie do przebrnięcia,
Drudzy, że to most zwodzony.
Tak stojąc nad brzegami języka dumali,

Aż zawrócili w swoje strony uwikłani w żył liany,
Topory w mięsiste ściany wbijali,
Chrzęstem grzęzły w kościach,
A potem dopadli wątroby, płuc i nerek
I brodząc wciąż w sinym świetle-jelit
Z ledwa dostrzegli:

„Tam świeci coś szaro”.
I poszli barbarzyńców nawalał, szepcząc:
„O, jak ten mózdek smaczny!”

Tak huceli pod horyzontem ciała,
Zarli żarliwie te mięśnie z lubością
— bo i jastrząb gołębia pożera nie z nienawiści,
a z miłości —,
Aż wyszli z człowieka syci, więksi o niego,
Któs język z czaszki wytaszczył i przebił gwoździem,
By upiór nie straszyl.
A kiedy już sam szkielet został, rzekł wódz:
— „Kości zostały rzucone!...”

I przeszedł tędy straszny wielogwar kamieni:
„Komu?!“

Jeden z ostatnich powiedział:

— „Cóż z duszą uczynimy?”
A głos inny wówczas zapytał: — „Co jest to?”
— „To jest to, co między nami, poza językami...”
I podpalili te więzy niewidzialne: — — —

Tu nigdzie mahatma wzywał nie pali
Po wyciągniętej jak krtań
Spirali,

Pnie, ślizga się,
Opada i wznosi,
Dymi dookoła,
W kołach — — —

Mówią, że to krzyszna.
Tak ludu wieść niesie.
— Ale ci mali wszakże bajaj!
Nic jest to,

czyli kryształ,
— — — popiół woła! (...)

— — — — —

Cóż? Ciało zjedzone, duszę spalono,
A kanibale zostali.

1966—1967

słów”, nastawia na „odkrywanie”, które nie jest poprzedzone procesem intelektualnym, na poszukiwanie oparte o — lepsze lub gorsze — kojarzenie, a nie o myślenie refleksyjne.

Tak — z grubsza negatywny — obraz metafory musi się zarysować, jeśli postuluje się ją jako narzędzie, które należy przeciwstawić poznaniu racjonalnemu opartemu na prawach logiki. A jednak — czy na pewno „metaforyka” znajduje się tak daleko od logiki, jak sugeruje Przybóś?

Przyjrzyjmy się, ale odmiennie, następującej metaforze:

(...)

a przecież oracz przechyla pagórek
— odmienne o tyle, że spróbujemy bliżej określić na czym polega tu „podobieństwo” z niepodobieństwem. Otóż przytoczone sformułowanie należy traktować jako

okres warunkowy: „Jeżeli oracz potrafi przechylać pagórek, to może spowodować fakt wcześniejszego wschodu słońca”. „Podobieństwo” wynika tu z sugestyjności pokazania zależności (typu niby — przyczynowo — skutkowego), w myśl której zawsze: ilekroć założymy, że „oracz potrafi przechylać pagórek”, to koniecznym następstwem tego założenia winna być konkluzja, że „aż słońce wszędzie”. „Niepodobieństwo” natomiast tkwi w tym, że założenie owego okresu warunkowego jest nieprawdopodobne jako fakt, który mógłby zajść w świecie empirycznym. Reasumując powiemy: metafora, która rozważaliśmy przykładowo, stanowi przekonywującą (racjonalnie) strukturę dlatego, iż pokazuje wynikanie „przynowoskutowe” dwóch faktów, chociaż odbywa się to bez wnikania, czy tzw. „przychylna”, może — gdziekolwiek i kiedykolwiek — zachodzić w sensie rzeczywistym.

NIE TYLKO PRZECIW Metafoze

Temu poziłomowi świadomości ludzkiej, który związały jest z kulturą i cywilizacją europejską — odpowiada następująca przesłanka — celem każdej działalności ludzkiej jest poznanie świata; być tak twierdził mimo zastrzeżeń przede wszystkim ze strony tych, którzy różniczą działalność o funkcjach wyłącznie duchowych, przeciwstawiając im innego typu działalność ludzką, oparte na celach wyłącznie poznawczych. (Pomijam tu zupełnie sprawę działalności skierowanej na praktyczne zastosowania, którą to działalność traktuję jako historycznie konieczną, ale w tym znaczeniu, że może ona stanowić jedynie bazę — a nie cel — dla nieskrepowanego przedsięwzięcia działań o walorach poznawczych). I jeszcze jedno wyjaśnienie — na pojecie „świat” składają się w tym ujęciu nie tylko obiekty materialne z ich obiektywnymi własnościami, ale także to, co nazywamy „światem wyobrażeń” (i to bez wnikanania czy owe wyobrażenia mają odpowiedniki w świecie materialnym) — także to, co nazywamy „światem myśli”.

Postulat jaki wypowiedzieliśmy na początku jest na tyle ogólny, że może spotkać się z zarzutem „workowatości” — tym bardziej, że i terminowi „świat” przypisujemy bardzo szeroki zakres treści. Niemniej jest to celowe ujęcie zagadnienia: celowość ta jest uwarunkowana w szczególności potrzebą sformułowania celów dla tych działań, które określamy jako dyscypliny artystyczne, a w stosunku do których stawia się zwykle nie dość istotne, a nawet anachroniczne wymagania — jak to, że chodzi w nich o poszukiwanie piękna — jak to, że są po to, aby „w tajemniczym” dostarczyć koniecznych wzruszeń estetycznych, poczucia szczyłowości itp. itd. Należy wreszcie powiedzieć: poezja — podobnie jak każda inna działalność artystyczna — może, i powinna, stanowić narzędzie poznawania świata. Sądzę, że te walory, które jej się przypisuje poprzez nazwy: piękno, wzruszenie estetyczne — nie są czynnikami pierw szorzędnymi, bowiem wynikają one dopiero z satysfakcji uczestniczenia w niebanalnych procesach poznawczych.

Nie rozstrzygając w tym miejscu kwestii: czy język (rozumiany szeroko) poszerza poznanie, czy jest tylko narzędziem poznania? — stwierdzimy, że język nieodłącznie towarzyszy poznaniu. Jednak — w stosunku do języka poetyckiego trzeba wypowiedzieć postulat następujący: w wypowiedzi poetyckiej powinna poszerzać poznanie „poszerzanie” rozumiem tu w tym sensie, że bez posługiwania się językiem poetyckim — a więc przy ograniczeniu się do wypowiedzi językowej niepoetyckiej — wiedza nasza byłaby o wiele uboższa). Jasne jest, że wykluczenie tej ostatniej tezy, wykluczyłoby w ogóle sens uprawiania poezji — albo przynajmniej: poezja ta musiałaby zrezygnować z oryginalnej, jej tylko przynależnej, specyfiki oglądu rzeczywistości; stałaby się wtórną i ilustratywną wobec osiągniętych poznawczych innych dziedzin, w pierwszym rzędzie wobec osiągniętych filozofii. Mówiąc więc o poezji — myślę tylko o takiej, która stanowić może narzędzie przydatne do intelektualnego opanowania świata — narzędzie: równoprawne z innymi (niepoetyckimi, a nawet



JACEK BIEREZIN

GRZEGORZ KOŚCINSKI

II Ogólnopolski Dzień Poezji czyli o autoreklamie

Dnia 29 i 30 stycznia odbyła się w warszawskim Klubie Studentów „Hybrydy” impreza pod nazwą „Ogólnopolski Dzień Poezji”. Była to już druga impreza tego rodzaju... i sądząc z szumnej reklamy (plakaty, elegancko drukowane zaproszenia) spodziewaliśmy się Sympozjum, którego tematyka wydźle daleko poza rogatki stolicy, przeżycie tę nijaką atmosferę, w której szamocą się wszelkie ugrupowania młodych, na terenie całego kraju. Tymczasem — pomijając już fatalną organizację Zjazdu (niepunktualność, źle rozplanowanie w czasie — zwłaszcza Turnieju Jednego Wiersza oraz konferansjerkę pana Leszina) — największe zastrzeżenia miało się jednak do poziomu i niesolidnego przygotowania referatów poetów z orientacji „Hybrydy”. Dziwny się wydaje fakt, że dyskusje wzbudzały właśnie te referaty — a nie kontrowersyjne i krytyczne prace Mieczysława Orskiego z Wrocławia i Ryszarda Krynickiego z Poznania. Pewne zastrzeżenia można też mieć do niektórych tez Krynickiego. Jak np. do niefortunnego porównania roli, jaką współcześnie odegrała podobno orientacja „Hybrydy” — do roli awangardy krakowskiej w okresie międzywojennym. Wydaje nam się, że obaj młodzi krytycy zaprzeczają z Orientacją przeceniania osiągnięcia swych kolegów. Cóż, jak powiada Artur Sandauer — „kwitnie u nas krytyka stołówkowa”.

Jednak prawdziwie zaszokowani byliśmy referatem młodego poety warszawskiego Jarosława Markiewicza, w którym to referacie padły sformułowania w rodzaju: „Przybóś uczynił rzekę poezji polskiej rzeką poezji świata, natomiast orientacja „Hybrydy” (do której zalicza się Markiewicz) zniosła dla poezji granice nie tylko kraju, ale i świata — uczyniła ją rzeką poezji międzyplanetarnej”. Tutaj nasuwa się pytanie (z którego może wyłączyćlibyśmy twórczość Jerzyna): — czy dzięki eklektyzmowi w twórczości i megalomanii w postawie?

Nie jest wolny od tej ostatniej także Jerzyna, który w referacie „Obraz współczesnej krytyki poetyckiej”, analizując rolę krytyki stwierdził m. in.: „...wyraził to co prawda w swoim esejcie Eliot, ale my to wiedzieliśmy wcześniej”.

I jeszcze jedna ciekawostka. Poeci orientacji Hybrydy uznali się za „nowe pokolenie” przeciwstawiające się pokoleniu 56. Ale nie jest to bynajmniej ostatnia plejada. Na widownię wkroczyło bowiem „najnowsze pokolenie” — Forum Poetów Hybrydy, przeciwstawiające się z kolei poetyce orientacji „Hybrydy”. Namiastka ruchu jest... A my tu na prowincji zahukani i zafani...

Opowiadania Skoszkiewicza

Kilka dni temu przybyła nam nowa, dobra książka.

Obwoluta podoba mi się. Umiemy w Polsce zadbać o obwolutę. Przypominam sobie jednak z lat dawnych, że książki (a niepoślednio miejsce zajmowały te wydawane w Łodzi) to były często książki, ładnie wydane, nie tylko ładne obwoluty: plastycy opracowywali także wnętrza i stronę tytułową i układ graficzny. Czasem to był tomik wierszy — jak „Garść popiołu” Mariana Piechala, czasem powieści i opowiadania, czasem studia krytyczne i teoretyczne jak wydawnictwa Kobro, Strzeżnińskiego — lub jak książki Smolika.

Tu — na obwolutie opowiadań Skoszkiewicza — czarne sylwetki dwunastu kobiet (czy na każdej dwunastkę musi być jedna zdrażczyni? — rzecz jeszcze do sprawdzenia) wdzięcznie zaprojektowane przez Henryka Piócnickiego. Ale przy układzie graficznym już plastyka zabrakło. I nie idzie mi o to, aby ów tom opowiadań był tak opracowany graficznie jak to uczynił kilka lat temu S. Fijałkowski w tomiku wierszy Kosińskiego, czy L. Kunke w tomiku J. M. Rymkiewicza, ani nawet — jak Ogrodowczyk w tomiku Kasprowicza — z przerywnikami (przydobyły się, przydały, ale — o funkcjonalne rozłożenie graficzne tekstu każdego z opowiadań. Szczególnie to się odnosi do „Zielonych listów” — opowiadania dosłownie epistolarnego — bo złożonego z 15 listów Stacha do Halinki i z powtórzonego listu Halinki do Zosi. Dałoby się przecież uniknąć zbicia tych listów (data zaczynająca list jest tak bliska podpisu na liście poprzednim, że robi wrażenie, jak gdyby oba listy się łączyły). Tu kropka. Dość na temat obwoluty i niedostatków wydawniczych:

niedobrze, gdy rzecz zaczyna się od końca. („Zielone listy” to opowiadanie ostatnie). A więc ab ovo: Tom zawiera 12 opowiadań. Niektóre znane są iódkim czytelnikom: np. „Rzeka” — z „Osnowy”; a kilka innych, krótszych, — z „Odgłosów”. Już z tego względu nie trzeba by było ich autora przedstawiać. Zresztą na skrzydełkach obwoluty znajduje się naprawdę rzeczowa notka o autorze (jedna z nielicznych dobrych notek — bo te odautorskie wynurzenia albo — na ogół — nie nic nie mówią, albo są trudne do zniesienia). Wydawnictwo przedstawia Skoszkiewicza jako przedstawiciela Prowincji. Tak Prowincji przez duże P, bo znającego ją dobrze, lecz pozbawionego jej kompleksów.

I rzeczywiście. Akcje o-

wiadań umieszczone są gdzieś w terenach odległych. Dojazd, przyjazd do miejscowej stolicy jest wydarzeniem nieomal niebywałym, ale... Właśnie, co za ale: otóż świat tak można odczytać wszystkie opowiadania Skoszkiewicza — ma swoje centrum tam, gdzie żyje bohater (a gdzie jest i obserwujący go narrator), gdzie ten bohater przeżywa swoje Wielkie (czy małe) Przygody. Prowincja w ten sposób jest nie tylko tłem. Przez swoją powszechność, poprzez skrajność postaw, nadmierną wyrazistość drobnych spraw, urastających subiektywnie do spraw wagi najwyższej — obserwator prowincji pokazuje sytuacje i ludzi chwytanych na gorąco, zmieniających się i zmieniających, przeżywających nieraz mocno i boleśnie swoje rozczarowania i zawody, tragedie i krzywdy.

A jednak po przeczytaniu książki Skoszkiewicza nie byłam przybita szarzą życia ani bolesnością doświadczeń bohaterów tych opowiadań. Sprawili to inne cechy przejawiające się w twórczości autora „Kolorowego miasteczka”.

A więc przede wszystkim: dyskretna. Nie znajdzie się w „Twarz z wosku” brutalnych scen, ani „Krzyku” Muncha, ani trąb wagnerowskiej opery. To, co Skoszkiewic podaje, znajduje się za lekką, przyciemnioną woalką. Tę woalkę jest szacunek dla człowieka, szacunek dla uczuć, obawa, by nie zostawić zbyt czystego śladu na niczym, co delikatne. Uczeń profesora Tutki wie, że zbyt głośno mówić, to nie nie powiedziec.

Dруга cecha — to ciepło. Życzliwość ku ludziom. W tomie opowiadań Skoszkiewicza nie ma ani jednego opowiadania pozbawionego życzliwości i serdeczności, a przy najmniej wyrozumiałego spojrzem człowieka, który aktualnie przechodzi tę samą chorobę; albo, jak to się mówi: „jedzie na tym samym wózku”.

Bohaterów i narratorów opowiadań Skoszkiewicza widzimy przeważnie w podróży. Zwykle któryś z nich, czasem i narrator i bohaterowie albo jadą pociągami („Słońce w żreńcach”), albo ledwo co przyjechali („Rzeka”, „Córka ogrodnika”), albo są w przejeździe czy wkrótce odjają („Twarz z wosku”), „Siostro”), a przynajmniej zadržymali się na krótko („Zielone listy”) lub chociaż w drodze — w pociągu się poznali („Zielone listy”). Drogi i podróże są w ten sposób zwykle punktem wyjścia dla opisu sytuacji, dla wprowadzenia w akcję czy dla lepszego scharakteryzowania postaci.

Piócnicki — projektując obwolutę świetnie uchwycił i ten właśnie sens: dwanaście opowiadań, dwanaście sylwetek kobiecych. Można by w tej dwunastce niejedną zdradę się dopatrzeć, niejedną

zdradliwość znaleźć (chociażby w opowiadaniu zatytułowanym „Brutus”). Można by się doszukiwać w tych sylwetkach koligacji literackich najrozmaitszych, można by podawać nazwiska Zweiga („24 godziny z życia kobiety”), Wasilewskiego (chociażby „Romans prababki”), wspominać (jak to już uczyniłem) o Szaniawskim, czy o pisarzach lżejszego autoramentu (jak np. Janusz Makarczyk), ale przecież w recenzji nie o to chodzi.

Opowiadania napisane są zwięźle, ze znajomością warsztatu literackiego; i chociaż Skoszkiewic stosuje także tak zwane modne chwyt — jak zmiany perspektywy czasu, przemienność i różnorodność odcinków czaso-

Aleksander Bocheński. Wędrówki po dziejach przemysłu polskiego. Warszawa 1966.

Aleksander Bocheński to autor niebanalny. Wystarczy przypomnieć tytuły jego poprzednich publikacji książkowych. Dzieje głupoty w Polsce (1947). Nienawiść i miłość La Rochefoucauld (1962). Czy nowy podział na ludzi i mały? (1966). W każdej z nich zaznaczył swą nieprzeciętną, wybijającą indywiduálność i rozległą orientację w tak pozornie rozbieżnych tematach. Pożornie, gdyż w każdej z nich, łącznie z ostatnimi „Wędrówkami”, Bocheński jest przede wszystkim politykiem zaangażowanym we współczesność i historię, ludzi, ich nasze, dążenia i upadki stanowią dla niego tworzywo, z któ-

O przemyśle i wielu innych sprawach

nał z kwiaty na ugorze — wynik inicjatywy mieszczkańskiej lub magnackiej. Jest inwencja ludzka, której kraj zawdzięczał swój rozwój, ekonomiczny wzrost, wreszcie skok w rewolucję przemysłową.

Autor nie pretenduje do rangi historyka ani naukowca. Ograniczył się do roli publicysty, który podróże w przeszłość odbywa za pośrednictwem literatury historycznej. W skąpych odsyłaczach prezentuje swe rozległe czytanie, ale nie przestaje błądzać (niesłusznie) nad obojętnością historyków dla tematyki przemysłowej, błądza również nad pominięciem przez nich życiorysów aktywnych jednostek lub nad apriorycznymi sądami ferowanymi tak łatwo o ludziach przeszłości.

W jego własnych opiniach i ocenach nie brak momentów przekory i temperamentu polemicznego. Nie waha się podważać i obalać sądy i wypowiedzi poważnych autoritetów naukowych. Prowadzi dialogi ze swymi oponentami, czytelnika wciąga w te spory i dysputy, zmusza go do refleksji i pobudza do dalszych przemyśleń, a co najważniejsze, budzi zainteresowanie dla tych spraw, które w podręczniku historii wydają się arcyrudne i nikomu niepotrzebne. Oto wzór popularyzacji. Nie opis i wykład a rozmowa, gawęda, wędrówka i otwieranie oczu na problemy, które może czytelnik sorobuje samodzielnie pogłębić.

Uwagi polemiczne i rewizja niektórych uświęconych w tradycji narodowej poglądów mają swój dowód w zaanżelowanej postawie ideologicznej autora. Bocheński od dawna zarzuca naszej historiografii gloryfikację czynu niepodległościowego i negatywną ocenę tego co stanowiło nurć mu przeciwny. Przyjmując jednostronne kryteria wartościowania dziejopisarstwa nasze — jak twierdzi autor — potępił chętnie ugodowców, realistów, trzęsących kalkulatorów w polityce, a w życiu gospodarczym ciułaczy i pracowitych dobrobieńców.

rego kształtując i formując elementy światopoglądu dąsiewego człowieka.

Wędrówki po dziejach przemysłu polskiego, to zbiór eseju i reportaży o początkach wytwórczości przemysłowej, powiedzmy od wieku XVI do upadku powstania listopadowego w trzech jej głównych branżach: hutnictwie, włókiennictwie i piwowarstwie. Są to pasjonujące relacje o próbach udających i nie; o trudnych początkach i prymitywnej technice, o rzadkich sukcesach i częstych od nich niepowodzeniach, o powstaniu kapitalu handlowego i jego różnorodnym upłynianiu. Są tu utracone i ciułacze, zarcofany szlachecki tradycjo-

na z szaleniami a doświadczenia poprzednich pokoleń nie odstraszyły następnym. Może musiałby przyznać, że są war tości, których nie kupi się na rozległym rynku rosyjskim i potrzeby, których nie zaspokoi nawet najlepiej postawiony przemysł. Tych wartości bronil narodowi polskiemu (i nie tylko polskiemu) despotyczny carat. Toteż walka z nim w imię wolności i godności ludzkiej i narodowej należało do równie chwalebnych kart naszej przeszłości jak wypracowana przez Lubeckiego „Magna Charta” przemysłu polskiego z 1822 r. tak słusznie w tej książce określona.

Wędrówki po dziejach przemysłu wiodły autora często do ziem łódzkiej. Hutnictwo żelazne to okrąg staropolski, sąsiadująca z nami Kleciszyna i peryferie naszego województwa. Piwowarstwo — to przede wszystkim zadziwiająca historia Piątku, małej miejsciny nieopodal Łęczycy (znajęcej się tylko z Potopu ale i monografii Paprockiego). A włókiennictwo to — niezawodnie historia 9 miast, które miały początkowo równe szanse, by stać się z czasem stolicą polskiego włóknarstwa.

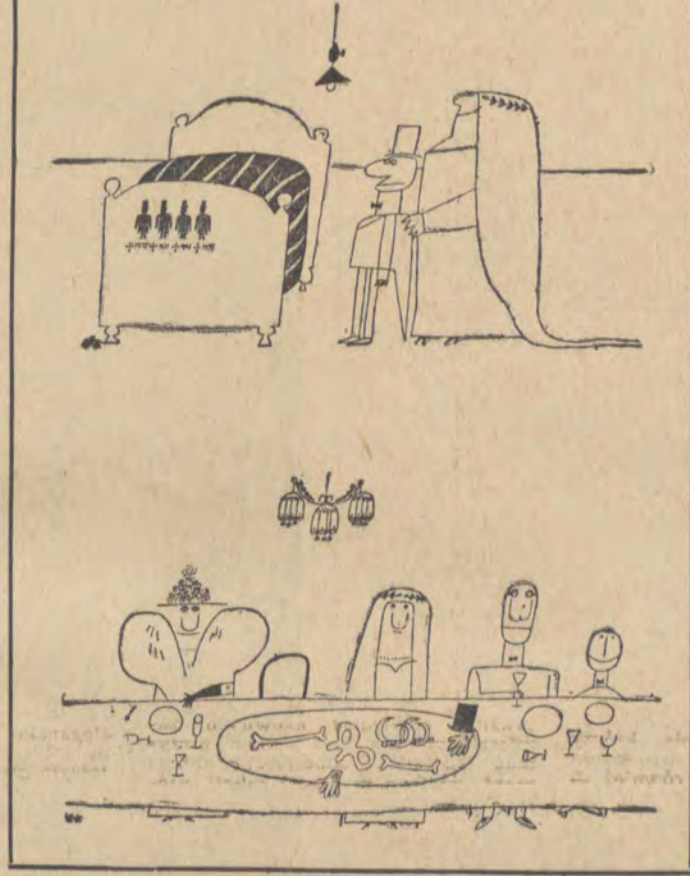
Wycięg ten wygrała Łódź. Początki kariery tego zapominanego w XVIII wieku miasteczka rolnego wiąże autor z narodzinami przetwórstwa bawełnianego i polityką władz administracyjnych. Decydujące znaczenie miały tu podróże inspekcyjne wojewody mazowieckiego Rajmunda Rembelskiego odbyte konno w 1820 roku i energia pierwszego burmistrza przemysłowej Łodzi, Czarkowskiego. Łódź jest miastem młodym, ukształtowanym przez historię wieku XIX. Zabytki jej to domki tkaczy, stare ulice, wytyczone przez jej rządnych gospodarzy. Autor apeluje o przywrócenie im ich pierwotnych nazw. Zgadzać się z nim całkowicie.

Historia przemysłu była heroiczna i niejednokrotnie romantyczna, ale też — jak autor przyznał — wiąże się z nią nierozdzielnie przez wiek cały wyzysk, nędza, pomnienie, groźba utraty pracy i chleba.

Bocheński pisze z pasją i umiłowaniem a zaskakującą przestrożką patrzy z optymizmem w przyszłość. Oczekuje ery robotów i automatów, które raz na zawsze uwolnią ludzkość od głodu, lęku, rozpaczliwiego Pionierem tej akcji w książce swej oddaje hold. W reportażu wędrówce po naszej historii autor zatrzymał się u progu rewolucji przemysłowej. Czekamy więc na tom następny.

* Autor wymienia: Ozorków, Ziętów, Łódź, Aleksandrów, Konstancjów, Tomaszów Mazowiecki, Pabianice, Zdunską Wołą, Kalisz.

Z satyry czeskiej



wych, specjalne postawy narratorskie, jednakże czyni to tak lekko, że nie daje się zauważyć włożonego wysiłku; tu chwyt nie są dla siebie, one naprawdę czemuś służą.

Nie widzę możliwości hierarchizowania pisarzy i ich dzieł, a co gorsza, nie widzę nawet takiej potrzeby. Wiem obecnie tyle tylko: przybyła nam dobra, ciepła książka. Przeczytajmy ją.

Janusz Skoszkiewic: „Twarz z wosku”. Wydawnictwo Łódzkie, Łódź, luty 1967. Obwolutę projektował Henryk Piócnicki. Nakład 4.000 egzemplarzy. Cena 18 zł.

Pochwała uczonego

W opinii potocznej uczonego kojarzy się z postacią człowieka, zajmującego się dalekimi od życia i współczesności sprawami, które obchodzą jedynie wąski krąg wtajemniczonych specjalistów. Inny mi słowy: uczonego to człowiek, którego nie interesują aktualne problemy dnia powszedniego, lecz mniej lub bardziej, raczej bardziej, odległa w czasie wydarzenia historyczne, dawno przebrzmiałe i nikogo na ogół nie obchodzące. Oczywiście jest to opinia przekaskrawiona, a nawet krzywdząca, ale przecież nie pozbawiona tak zupełnie słuszności. Zamykanie się w wieżach z ksiąg słownej i programowe niejąco unikanie jakiegokolwiek styków z teraż-

nieszością, musiało w końcu wytworzyć w społeczeństwie, czy też w pewnych kręgach społeczeństwa, taka o nich opinia. Tworzeniu się tej opinii sprzyjał fakt, że uczeni a zwłaszcza humaniści lubią zajmować się zagadnieniami historycznie zamkniętymi, które nie budzą większych wątpliwości i nie podlegają nabytym zmianom kontrowersjom.

Zdarzali się jednak (i zdarzają) uczeni, którzy nie tylko nie uciekali od problemów życia współczesnego, i to zarówno jako ludzie jak i jako badacze, lecz którzy ponadto próbowali łączyć historię ze współczesnością, przynajmniej w tym sensie, że przywoływali przeszłość na pomoc terażniejszości, albo też poprzez fenomeny terażniejszości interpretowali zjawiska czasu minionego. Na gruncie polskim takim uczonym był prof. Zygmunt Lempicki, żyjący w latach 1886—1943, wybitny germanista, który zginał w oświecenijskim czucie koncentracyjnym, człowiek o roz-

ległych horyzontach i niezwykle żywym temperamentem, co, wśród uczonych filologów należał raczej do rzadkości. Państwowe Wydawnictwo Naukowe wypuściło na rynek książkę, w której dwa obszernie tomy jego pism: pierwszy pt. „Renesans. Oświecenie. Romantyzm i inne studia z historii kultury” i drugi pt. „Studia z teorii literatury” opatrzone przedmowami Bohdana Suchodolskiego i Romana Ingar dena, a także krótką notką biograficzną, pióra Marii Brykalskiej. Otóż prof. Zygmunt Lempicki przez całe swoje życie współpracował stale z prasą periodyczną i codzienną, zamieszczając w niej artykuły i recenzje literackie, muzyczne, teatralne i pedagogiczne, ba! w latach 1931—36 był redaktorem „Kuriera Polskiego”, w którym pisywał regularnie przeglądy polityczne. Po odejściu z „Kuriera Polskiego” związał się z „Kurierem Warszawskim”, na którego łamach aż do wybuchu wojny występował jako publicysta. O ile nam wiadomo, te intensywnie kontak-

ty z prasą nie tylko nie przeszkodziły mu w pracy naukowej, lecz przeciwnie: pozwoliły na stałą konfrontację faktów historycznych i współczesnych, przyczyniając się do wlece zajmującego umówienia poszczególnych zagadnień. I to zapewne sprawa, że ogłoszone teraz prace Zygmunta Lempickiego z wielu przecięż lat jego działalności naukowej, nie nie utraciły ze swej siły, nie zatłumiły naftaliną i nie traca myśką, są frapujące, ciekawe, niekiedy — bardzo śmiało pod względem koncepcyjnym. Weźmy, dla przykładu, jego rozprawę z 1933 roku pt. „Oblicze duchowe wieku dziewiętnastego”. Zygmunt Lempicki jest zdania i zdanie to uzasadnia w sposób przekonujący, że wiek dziewiętnasty nie zaczął się i styczniu 1800 i nie skończył i styczniu 1900 roku. Wiek ten, słusznie nazwany wiekiem walki o realizację hasel wolności, równości i braterstwa, zaczął się w r. 1830—31, kiedy we Francji upadł okres restauracji i następowala era wcielania w życie

ideałów wielkiej rewolucji z 1789, a w Polsce zaczyna się nowy etap życia duchowego i kulturalno-społecznego. Według prof. Lempickiego wiek dziewiętnasty skończył się w latach trzydziestych naszego stulecia, kiedy dążeń i reżymów fałszywskich pogrzebały ostatecznie ideały „epoki pary i elektryczności”. Rozprawa prof. Lempickiego, zwarta i syntetyczna a zarazem plastycznie opisująca wiek XIX, jest jedną z najlepszych na ten temat. Albo inna jego rzecz, poświęcona

Oswaldowi Spenglerowi i jego głośnemu dziełu „Upadek świata zachodniego”, rzecz krytyczna i polemiczna, doskonale interpretująca źródła inspiracyjne i tendencje, w dziele tym zawarte. A ileż świetnych uwag i myśli znajdziemy w jego podstawowej pracy „Renesans. Oświecenie. Romantyzm”. Jest to praca, która oprócz tego, że przynosi wiele cennego materiału poznawczego, zmusza do ponownych przemyśleń i rewizji naszych poglądów na prądy filozoficzne, kulturowe i spo-

łeczne trzech stuleci. I ta żywość ujęcia, będąca jedną z głównych cnot myślicielskich i pisarskich Zygmunta Lempickiego.

Jakaż ironia historii mielsi się w tym, że ten znakomity znawca kultury i literatury niemieckiej, miłośnik Goethego i Herdera, zginał z ręk przedstawicieli tego samego narodu — z ręk barbarzyńców hitlerowskich dwudziestego wieku.

Zdarzyło mi się przed wojną być na paru wykładach prof. Lempickiego. Cieszyły się one zainteresowaniem i za skutoną sławą. Ale dopiero dziś, w świetle jego pism zebrań i ogłoszonych łącznie, widzę, co to za zdumiewająca umysłowość. Przykład uczonego, który potrafił zespolic ścisłość badacza z temperamentem publicysty. Gdyby modne były obecnie ankiety na temat najwybitniejszych księży roku, bez wahania głosowałbym na obydwu tomy pism Zygmunta Lempickiego.

MARIA
KORNATOWSKA

Pogarda dla kina

A więc narodził się? Po ośmiu latach burzliwej kariery Jean-Luc Godard trafił na polskie ekrany. Najbardziej uwielbiany i najbardziej potępiany reżyser w dziejach kinematografii.

Jeden z największych młotów współczesnego kina. Geniusz czy szarlatan? Nowator odkrywający nowe drogi sztuki czy też hochsztapler sprytnie korzystający z chaosu na nującego w poleciach i zasadach? Nie nam wyrokować o tym co przyszłość dopiero okaże a potonność zatwierdzi. Żalować jedynie wypada, że z łaski organów od zakupu filmów pozbawieni jesteśmy możliwości oglądania najciekawszych i najświeższych nowinek filmowych. Fakt, że widzowi polskiemu dopiero teraz pokazano Godarda i to nie w najlepszym wydaniu - potraktowane zostały jako jeden z rodzimych aradoków godnych zaiste amego Oskara Wilde'a.

„Pogarda” jest adaptacją niego zmirował powieści Alberta Moravii. Znany producent włoski, małżonek Sofii Loren - Carlo Ponti chciał z tego zrobić całkiem zmirował film. Aby sobie zagwarantować kasę i apro-



bale krytykę zatrudnił w charakterze reżysera Jean-Luc Godarda i w charakterze gwiazdy Brigitte Bardot. Dla większej sławy zaangażował też świętego reżysera niemieckiego Fritza Langa - jedno z bóstw nowej fali - który wystąpił w roli Fritza Langa, świętego reżysera niemieckiego. Ponti zmusił Godarda do dokręcenia scen z roznieglizowaną Brigitte. Ale w ostatecznym rachunku Godard zakpił sobie z producenta. Zakpił dosłownie i w przenośni. Wysztybił go raniej, ograniczoną i tępią seowność siebie producenta Prokoscha. Kiedy słyszysz słowo - sztuka - wyciągam książeczkę czekowa - powiada ien czarujący dentelmen. I rzezywicie tak czyni. Godard zrobił klasyczny „antypilm” w sensie paszkwilo na istotę i metody komercjalnego kina. Ten paszkwil jest dwupoziomowy. Najpierw widzimy jak się „robi” kino. Amerykański producent, francuski scenarzysta i niemiecki reżyser porozumiewają się przy pomocy tłumaczki, która jest w zasadzie najważniejszą osobą. w całej ekiecie. Reżyser jest bardzo mądrym i wielkim człowiekiem, ale ma to wszystko w nosie i w trakcie realizacji filmu myśli o czymś innym. To co widzimy na ekranie jest tylko założona namiastka tego czym mogłaby być prawdziwa „Odyseja”. Lang zdaje sobie z tego sprawę. Ale tak jak „Odyseja” reprezentuje mit wspaniałej przeszłości człowieka wolnego i harmonijnego, tak on jest już tylko zwywym mitem wspaniałej przeszłości filmu. „Kino jest wynalazkiem bez przyszłości” głosi

napis zdobyjący się projekcyjną w Cinecittà, i w całym kontekście filmu słowa Lumiera nabierają nowego, jak że gorzkiego znaczenia. Złoty wiek ludzkości i złoty wiek filmu: „M-morderca” Langa, „Podróż do Wioch” Rosselliniego. Ta paralela jest w „Pogardzie” bardzo wyraźna. Z tego wszystkiego pozostały dziś tylko smętne gipsowe posągi, które jak ponure memento pojawiają się tam i tu na przestrzeni całego filmu. Ale Godard pokazuje nie tylko jak się robi kino oraz „atmosferkę” wokół owego byznesu manipulacyjnego, pokazując również jak taki film może wyglądać. I to jest właśnie tytułowa „Pogarda”, która zaczyna odczuwać wspomnianą już Brigitte Bardot w stosunku do swego męża-scenarzysty, na dorobku. Pseudo-intelektualne dialogi, komiczne retrospekcje mające tłumaczyć wewnętrzne odczucia postaci. pseudo-psychanalityczne sytuacje tudzież wieczna niemal, ku ucieście spagnionej nowych wrażeń publiczności, roznieglizowana bohaterka - oto zawartość owego „antypilmu”. Godard nieustannie komentuje samego siebie. „Najpierw rozbiiera się dzieło, czyni, a potem robi się kino - powiada bohater w „Pogardzie”. Godard atakuje nie tylko kino komercyjne. Tworzy także zreżny waznisz modnego sylu a la Antonioni. „Pogarda” przywodzi na myśl przede wszystkim „Noć”, będąca wszelkie historia narastającej obcości dwójka ludzi. Jest jeszcze w „Pogardzie” trzecia warstwa, najbliższa godardowskiej koncepcji filmu. Owe cytaty z ulubionych lektur, dziwaczne dyskusje, stare plakaty filmowe, przebieżki ranki aktorów itd. Tu między wierszami reżyser daje nam swój własny film. Niezwykły collage kawałków różnorodnych rzeczywistości. Dziennik intymny autora. Igranie z technicznostylistycznymi możliwościami kina. To jest właśnie cały Godard. Dotychczas kręcono filmy diabelnie serio. Opowiadano mniej lub bardziej wstrząsające historijki, każąc nam wierzyć w ich realność. Godard nieustannie poddaje w wątpliwość, to co opowiada. Otwarcie manifestuje zmyślenie. Bohaterowie Godarda są tylko marionetkami, które autor w odpowiednim momencie podjeża za sznurek. Nie istnieje niezależnie od woli reżysera. Podobnie jak książki, cytaty, afisze, rozmaite rekwizyty sa kamyczkami przy pomocy których Godard tworzy swoją mozaikę. Mozaikę, która koniec końców służy wyrażeniu jego własnych, osobistych sympatii i antypatii, przekonań i obsesji. Godard nie pragnie w swoich filmach opowiadać historijek dla zabawienia publiczności, nie pragnie prawić morałów ani odbijać rzeczywistości. Chce no prostu wyrazić siebie - Jean-Luc Godarda, reżysera filmowego i krytyka. Czy to mało, czy dużo?...

„Pogarda” jest adaptacją niego zmirował powieści Alberta Moravii. Znany producent włoski, małżonek Sofii Loren - Carlo Ponti chciał z tego zrobić całkiem zmirował film. Aby sobie zagwarantować kasę i apro-

DROGI CZYTELNIKU! Redakcja prosi Cię o wyrażenie opinii o „ODGŁOSACH”. W naszej ankiecie zaznacz znakiem plus (+) działy, które Cię interesują i które uważasz za dobrze redagowane. Znakiem minus (-) zaznacz te działy, które oceniasz negatywnie.

Prosimy Cię również o inne uwagi o naszym piśmie.

Każda nadesłana ankieta weźmie udział w comiesięcznym losowaniu cennych nagród książkowych, a redakcji pomoże w lepszym zrozumieniu potrzeb czytelnich Łodzi i regionu łódzkiego.

Wypełnione ankiety prosimy nadsyłać do redakcji „Odgłosów”, na adres: Łódź, ul. Piotrkowska 96.

Którędy droga do sławy?

Studenci ostatniego roku wydziału aktorskiego PWSTiF przygotowują już przedstawienie dyplomowe. Emocja, trema, zdenerwowanie wywołane są nie tylko faktem pierwszego publicznego występu, pierwszego, który naprawdę się liczy. Jest jeszcze inna przyczyna. Na przedstawienia te przyjadą dyrektorzy teatrów z innych miast. Będzie to - przepraszam za porównanie - giełda. Dyrektorzy przyjeżdżają, by uzupełnić skład swych zespołów, by zaangażować młodych adeptów sztuki teatralnej, i to się najwięcej liczy. To jest sprawa przyszłości, podjęcia decyzji, która może zaważyć na dalszej karierze aktorskiej na całe życie.

Szkola przygotowuje do zawodu, daje podstawowe umiejętności, podstawową wiedzę o rzemiośle aktorskim. Lecz szkoła to w jakimś stopniu ciepłarnia, każdy student jest przedmiotem troski i zainteresowania, przedstawienia dyplomowe są przygotowywane długo. Dopiero twarda rzeczywistość - praca w teatrze, szybkie tempo, warunki, w których aktor jest tylko jednym z wielu, zetknięcie się z różnorodnością ról - jednym słowem praktyka - tworzą aktora, są sprawdzianem jego możliwości, jego talentu. Dlatego tak ważne są pierwsze lata pracy sceniczej.

Jakie szanse ma dziś młody aktor, jakimi drogami toczą się jego losy? Trzeba zacząć od stwierdzenia mało odkrywczonego - szanse te są duże. Statystycznie na sprawę spoglądając - każdego roku umiera lub odchodzi na emeryturę około 40 aktorów. Trzy uczelnie kształcą aktorów: warszawska, łódzka i krakowska dają rocznie 40 do 45 absolwentów. Istnieją wprawdzie w kraju trzy ośrodki: Warszawa, Łódź i Kraków, gdzie nie wszyscy aktorzy tam mieszkający są zatrudnieni, ale za 10 w innych ośrodkach istnieją jeszcze zespoły nie „skompletowane”, są i takie, które zatrudniają amatorów i półamatorów. Stąd zarządzenia Ministra Kultury i Sztuki zabraniające zatrudniania absolwentów w Warszawie, Łodzi i Krakowie, nakazujące im angażowanie się do teatrów terenowych na okres co najmniej dwóch lat. Odstępstwo od tej reguły uzasadnione być musi ważnymi przyczynami, głównie natury rodzinnej.

Już dziś, choć do końca roku dość daleko, do łódzkiej PWSTiF zgłosiło się sześciu dyrektorów teatrów (z Częstochowy, Gniezna, Grudziądza, Poznania i Wrocławia) z propozycją zaangażowania tegorocznych absolwentów,

Niektórzy (jak np. dyrektor Okopiński z Poznania) chcą widzieć u siebie całą grupę łódzkiej młodzieży. Czy napawa to młodzież słuszną dumą i radością? Żeby nie minąć się z prawdą - niebardzo. Absolwenci starają się na ogół uniknąć tzw. prowincji. Wielkie miasto to możliwość szybszego wybicia się, zdobycia poważniejszej pozycji. Zwłaszcza tam gdzie jest film, telewizja, dubbing - atrakcyjność pracy różnie. Wiadomo, film i telewizja to

Posługują się autentycznym przykładem. Jeden z naszych absolwentów sprzed kilku lat miał „szczęście” zaraz po studiach zaangażować się do Warszawy. Po roku czekania na rolę przeniósł się do Koszalinu. W tamtejszym sezonie, podczas festiwalu teatralnego dopiero pokazał się publiczności warszawskiej. Później jeszcze grał w teatrze szczecińskim, a dopiero po paru latach, już z dorobkiem poważnych ról, zaangażował się do jednego z teatrów łódzkich. Jestem za ambicjami prowadzącymi do miast centralnych, jestem za Warszawą, Krakowem i Łodzią, ale droga do nich musi prowadzić przez Rzeszów i Częstochowę, przez Koszalin i Słupsk.

Zresztą czy można dziś mówić o prowincji? Czy tak duże ośrodki jak Wrocław, Poz-

ska kulturalne prowadzą ożywioną działalność, zorganizowane są spotkania, dyskusje, scenki eksperymentalne itd. I jeszcze jedno. Niezależnie od festiwalu ogólnopolskich, dających aktorom możliwość zaprezentowania się poza własną sceną, przy teatrach w dużych ośrodkach powinny być organizowane pokazy dla aktorów z teatrów terenowych. Byłaby to dla nich szansa zwrócenia uwagi na siebie. Takie stałe pokazy praktykowane są w ZSRR ku zadowoleniu obu stron. Uczy się zdobywać warsztat można wszędzie, decyduje sprawa talentu. Jestem przekonany o tym, że talent wyplynie i na prowincji i w centrum.

Głównym niebezpieczeństwem terenu jest słaba opieka reżyserska. Prof. Malinowska zarzuca, że niektórzy reżyserzy stawiali za male wymagania młodym aktorom. Wystarczy im zasób środków, jakie absolwenci wynieśli ze szkoły. Różnorodność ról daje możliwość pogłębienia warsztatu, opanowania środków technicznych, środków wyrazu scenicznego. Ale przy braku odpowiedniej opieki reżyserskiej stwarza też niebezpieczeństwo manieri. Student dzieła reżyserów na inscenizatorów i pedagogów. Pierwsi to tacy, którzy przede wszystkim chcą widzieć swym przedstawieniem coś powalniającego i głównie chodzi im o koncepcję inscenyjacyjną. Drudzy dbają głównie o aktorstwo, o pracę z aktorem.

Oto co mi powiedział Ryszard Żurawski, student IV roku, w niedługim czasie kończący studia.

Gdy jestem w teatrze jako widz uole przedstawię inscenizatora, ale kiedy sam wychodzę na scenę, chcę tylko grać i chce, żeby to dla reżysera było najważniejsze jak gram. W teatrze terenowym boję się taniej popularności, niebezpieczeństwo zmarnierowania się, braku opieki reżysera. Ale jednocześnie chciałbym grać, a grać można tylko na prowincji.

Mój rozmówca właściwie nie dał konkretnej odpowiedzi na pytanie jak wyobraża sobie przyszłość. Ma argumenty na tak i na nie. Fakt, że wyjedzie z Łodzi uważa, zdaje się, za przesadzony. On ma ponadto inne kłopoty. Warunki osobiste predestynują go do roli amanta. Jestem skazany na granie amantów, uzupełniających wążek miłosny - mówi - a to przecież bardzo nudne. Marzy o rolach charakterystycznych, ale wie, że przyjdą nieprędko. Każdy ma swoje kłopoty. Cwiklińska całe życie marzyła o tym, żeby zagrać Szimena. Raz jeden chociaż chciała być amantką i zawsze grała role charakterystyczne.

A narzekania reżyserów teatralnych i telewizyjnych na brak autentycznie młodych amantek?

Oddaje głos dyrektorowi Sykałowi.

W prawidłowo ustawionym teatrze, kobiety powinny stanowić jedną trzecią zespołu. Takie proporcje kształtuje repertuar, cała dramaturgia światowa. Podobne proporcje starać się zachować i szkoły aktorskie, by nie stworzyć bezrobocia wśród aktorów. Wiek sceniczy amantki trwa znacznie krócej niż wiek sceniczy aktorki. I choć to prawda, że kobiety są wieczne młode, jednak te, które 5-6 lat temu grały role amantek dziś już nie zawsze nadają się do tych ról. W dalszym ciągu są w teatrze pożyteczne i pozostają w nim, ale proporcje muszą być zachowane. To jedna sprawa. Druga w sytuacji gdy mało dziewcząt przyjmuje się na studia aktorskie, nie mniej ważna - to szczególnie staranny dobór kandydatek na studia. Wydaje mi się, że uczelnia za mało zwraca uwagę na warunki zewnętrzne przyjmowanych dziewcząt. Może by więc tak wprowadzić więcej mężczyzn do komisji egzaminacyjnych.

Wnioski z tych rozważań? Wszystkie drogi prowadzą do sławy. I te przez Rzeszów - Kalisz - Olszyn, Niceo dalsze i te przez Warszawa i Łódź. Pod warunkiem, że na drogę wkroczą talenty, poparte pracowitością, wytrwałością i poważnym stosunkiem do zawodu.

TERESA WOJCIECHOWSKA



Fot. W. Paris

szansa szybkiej na cały kraj popularności. Szansa, ale nie gwarancja. W końcu z łatwości policyjnej można tych, którym powiodło się łatwo, którzy szybko zrobili karierę. To sprawa talentu ale i przypadku.

Młodzież teatralna ma oczy otwarte i trzeźwo patrzy na świat. Uczy się na doświadczeniach starszych kolegów. Nie tylko tych nieuczelnianych, którzy zrobili karierę, ale i tych znacznie liczniejszych, o których do dziś nie słychać. Wielki ośrodek, teatr w wielkim mieście, to także poważne niebezpieczeństwo. To dwie role rocznie i - jak się symbolicznie mówi wśród aktorów - noszenie halabardy.

Teatr terenowy daje młodemu aktorowi szansę grania. Teatr terenowy to 10 albo i więcej ról rocznie i to role dużych, poważnych. W zasadzie i warunki materialne, zwłaszcza w teatrach objazdowych (na przykład Olszynie, Elblągu, czy Koszalin-Słupsku), są znacznie lepsze niż w dużym ośrodku. Ale tu znowu czyhają na młodego aktora inne niebezpieczeństwa. Przychodzący ze szkoły aktorskiej, jeśli w dodatku ma tzw. warunki zewnętrzne, staje się z miejsca gwiazdą. Jeśli trafi na reżysera dobrego pedagoga - wszystko w porządku. Jeśli ma dużo ambicji, wytrwałości i samokrytycyzmu - również w porządku. Jeśli tego zabraknie - aktor nie zdobywając nic więcej, może stracić wszystko co zdobył w szkole.

Jaka droga jest więc słuszną? Głos ma dzielną Wydziału Aktorskiego PWSTiF prof. Hanna Malinowska.

nań. Szczecin, prowadzącą tak żywą działalność kulturalną są prowincją? Czy w ogóle istnieje dziś prowincja zabita deskami? Deski te dawno już obalone zostały przez ogólnopolskie festiwale i przeglądy teatralne. Praktycznie każdy teatr ma dziś szansę pokazania się w stolicy, każdy aktor zaprezentowania swego talentu. Dlatego jestem wielką zwolenniczką wszelkiego rodzaju festiwali, umożliwiających aktorom zdobycie awansu niezależnego ich talentowi i umiejętnościom. Wielu znanych aktorów polskich rozpoczęło właśnie w teatrach terenowych, wielu absolwentów naszej uczelni, którzy startowali w terenie, dziś gra w teatrach warszawskich, krakowskich, w łódzkich mamy 35 naszych uczniów.

Jak sprawy młodych aktorów wyglądają z punktu widzenia dyrektora teatru w wielkim ośrodku? Głos ma dyrektor Teatru Powszechnego Roman Sykala.

Dwie role rocznie? To maksimum tego co mogę zagwarantować początkującemu aktorowi. Zespół jest duży, wszyscy chcą grać i to jest ich prawo. Młodzi muszą czekać. W tej sytuacji można pragnąć tylko, by dyrektorzy teatrów terenowych zapewnił przychodzącej młodzieży jak najlepsze warunki pracy, by śledził studentów już od III roku studiów i decydowali się na wybór, a w tym czasie przygotowali dla nich odpowiednie warunki bytowania. Ważne jest też szerzej pojęte życie kulturalne w danym ośrodku. Absolwenci idą np. chętnie do Szczecina, bo tam środowi-

Kto, co, kiedy?

relacje
niedyskrecje



CZY WRÓG STARSZYCH PAŃ?

Ulubionym obiektem satyrycznych rysunków Jacques Faizanta są panie cokolwiek po trzydziestce. Obecnie ukazał się już trzeci album z serii „Zawsze o starszych paniach”. W rysunkach J. Faizanta występują one jako energiczne, o niespożytej aktywności, impulsywne i jakby mówią, że... trzeba się z nimi liczyć. Faizant przed stawia to oczywiście w formie zabawnej, choć może nieco złośliwej. Toteż niezdanie są wy padki, że wydawnictwo publikujące jego rysunki otrzymuje od urażonych kobiet listy w ro-

dzeniu: „Dajcie nam adres tego smarkacza, żebyśmy mogły połamieć parasolkę na jego głowie”. Przychodzą jednak i inne listy. Oto pewna starsza pani, obdarzona poczuciem humoru napisała: „Jacques Faizant przedstawia właściwość i wady, moje i moich przyjaciółek z precyzją, która mogłaby być niepokojąca, gdybyśmy nie miały podejść do tego ze stoicyzmem. Kiedy przeżyło się dwie wojny, miało trzech mężów, u trzymało przy życiu mimo wielkiej ilości lekarzy i niezliczonych ilości lekarstw — to i rysunki Jacques Faizanta nie potrafią zakłócić naszego dobrego samopoczucia”.



WYSTAWA PICASSA NIE PRZYŃOŚŁA DOCHODU

Wystawa dzieł Picasa, urządzona w Paryżu dla uczczenia 85-lecia urodzin wielkiego malarza, nie przyniosła żadnego dochodu mimo, że zwiędziło ją aż osiemset pięćdziesiąt tysięcy osób. Wpływy za bilety wstępne starczyły za ledwie na pokrycie urzędzenia wy-

stawy i na ogromne sumy ubezpieczeniowe. Charakterystyczne, że wystawę zwiędziło ludzkie ze wszystkich warstw społecznych. I jeśli zabrakło kogoś na niej to... samego Picasa. W ciągu 80 dni trwania wystawy, mimo że odwiedziło ją przeszło trzy czwarte miliona ludzi nie zanotowano żadnych poważniejszych incydentów. Jedynie usunąć trzeba było trzech pijaków, którzy zbyt głośno ma-

nifestowali swój entuzjazm dla sztuki, wyrzucić sprzedawcę pornograficznych fotografii i uporać się z mężczyzną, który chciał kupić bilet wstępu za wycofane już franki.

PISARZE BOHATERAMI PRACY SOCJALISTYCZNEJ

Prezydium Rady Najwyższej ZSRR przyznało tytuł Bohatera Pracy Socjalistycznej siedmiu radzieckim pisarzom. Ten zaszczytny tytuł otrzymali: Michał Aleksandrowicz Szolochow, Konstanty Aleksandrowicz Fiedin, Aleksander Korniejczuk, Leonid Maksymowicz Leonow, Mirzo Tursun-Zade, Pawło Tyczyna i Andrejs Upits.

DIALOG MIĘDY LWEM TOLSTOJEM I JEGO ŻONĄ - W RADIU FRANCUSKIM

Rozgłoszła „France-Culture” przygotowała dialog Lwa Tolstoja z



jego żoną i to dialog, który bynajmniej nie jest utworem fikcyjnym, a ponadto dialog, w którym Tolstoj i jego żona, sami nie wiedzieli, że go prowadzą.

Jak to jest możliwe? Dziennik paryski „L'Humanité” informując o tej audycji pisze, że jak wiadomo pożyteczne małżeństwo Tolstoja z żoną nie układało się najlepiej. Lew Tolstoj ożenił się mając trzydzieści pięć lat z osiemnastoletnią dziewczyną. Miał z nią następnie dwanaścioro dzieci. Ale małżeństwo to nie żyło w zbytniej zgodzie, bywały nieraz momenty nieporozumień, burzliwych, czasem na-

wet dramatycznych spięć. Te to właśnie m. in. przyczyny sprawiły, że małżonkowie rozeszli się, a raczej Tolstoj opuścił rodzinny dom. U szczytu swej sławy i popularności, znalazł się samotny i umierający na małej stacyjce, Astapowo. Na ogół przyjęło się mniemanie, że winę za to ponosi Zofia Tolstojowa. Ale Gorki, który dobrze znał małżeństwo Tolstojów wziął w obronę Zofię.

W jaki sposób autor audycji Vladimir Pozner mógł odtworzyć możliwie wiernie dialog Tolstojów? Otóż wykorzystał on notatki prowadzone przez małżonków, niezależnie od siebie, przez lat czterdzieści osiem. Zarówno pisarz jak i jego małżonka przez blisko pół wieku, każde z osobna, pisały swój pamiętnik. Każde z nich opisywało dramata ich współżycia. Dział te notatki mają dla nas dużą wartość historyczną, gdyż przeżyła i rozterki tej pary małżonków w wielu przypadkach odzwierciedlała te nastroje jakie nurtowały wówczas w Rosji, a pamiętajmy, że były to czasy poprzedzające wielkie wydarzenia historyczne.



KSIAŻKA Z PRZEZRÓCZAMI

W wydawanej w Paryżu serii książek o sztuce i twórczości poszczególnych artystów „Publications filmées d'Art et d'Histoire” ukazała się książka, z tekstem Marcela Zahara poświęcona twórczości Jeana Picart Le Doux, twórcy tkanin artystycznych. Nowum polega na tym, że do książki dołączona jest teżca zawierająca barwne diapozytyw, przeczczca, a więc zapoznać się z tekstem

można oglądać barwne reprodukcje dzieł artysty. Przechodzić takie są znacznie bardziej wierne w stosunku do oryginału, od tych jakie uzyskuje się na papierze. Diapozytyw można oglądać po prostu pod światło, a można je także zakładać do projektorów i w dowolnej wielkości oglądać na ekranie.

Ulubionymi motywami twórczości wybitnego twórcy tkanin artystycznych są ptaki, motyle, znaki zodiaku, gwiazdy, postacie ludzi, drzewa i ryby.

SPEKTAKLE tygodnia

FILM

POLONIA	„Bokser”, 35 seansów	10.015 — 45%
WISŁA	„Walizka z milionami”, 15 seansów	4.787 — 80%

TEATR

NOWY	„Kowal, pieniądze i gwiazdy”, 3 spektakle	2100 — 100%
	„Sen srebrny Salomei”, 1 spektakl	700 — 100%
	„Sonata Bełzebuba”, 2 spektakle	1300 — 95%
	„Pan Drops i jego trupa”, 1 spektakl	600 — 90%

MAŁA SALA

„Słuby panińskie”, 3 spektakle	600 — 100%
„Kartoteka”, 2 spektakle	400 — 100%
„Ojciec”, 1 spektakl	200 — 100%

TEATR WIELKI

„Straszny dwór”, 3 spektakle	3.828 — 100%
„Carmen”, 2 spektakle	5.552 — 100%
„Książę Igor”, 1 spektakl	1.276 — 100%

POWSZECHNY

„Pies ogrodnika”, 5 spektakli	3.315 — 99%
„Mocne uderzenie”, 2 spektakle	1.326 — 99%
„My fair lady”, 2 spektakle	1.293 — 97%

TEATR

ZIEMI ŁÓDZKIEJ

„Trudna miłość”, 6 spektakli	3.753 — 100%
„Droga do Czarnolasu”, 8 spektakli	1.964 — 85%

JARACZA

„Biała Diablica”, 2 spektakle	1.266 — 100%
„Namiestnik”, 6 spektakli	3.798 — 100%

TEATR

7.15

„Dobrze skrojony frak”, 2 spektakle	842 — 100%
„Taka noc nie powtórzy się więcej”, 2 spektakle	842 — 100%

OPERETKA

„Życie paryskie”, 7 spektakli	7.066 — 96%
-------------------------------	-------------

FILHARMONIA

koncert „przedpołudnie z młodzieżą”, 1 koncert 706 słuchaczy 92%

POLONICA

FRANCUSKI REŻYSER O „TANGU”

Tuż przed premierą „Tanga” Sławomira Mrożka w paryskim teatrze „Lutace” reżyser tego spektaklu, Laurent Terzieff udzielił wywiadu przedstawicielowi dziennika „Le Figaro”. Wyraził on zał, iż nie mógł się przed rozpoczęciem prób porozumieć z autorem, który obecnie przebywał do Francji (stała mieszka we Włoszech). Na pytanie, co go najbardziej zainteresowało w komedii Mrożka, francuski reżyser wyjaśnił, że zafrapował go humor, i to bardzo oryginalny, swoisty. Ponadto, „Tango” nie będa „szuką z tezą”, wyraża jednak pewne niepokoje i rozterki naszego stulecia. Bohater chce się buntować, ale nie wie przeciw czemu; chce znaleźć idealną, wypełniającą oczekiwania pustkę. Lecz tradycje, do których próbuje nawiązywać okazują się bezżywcze. Zdaniem Terzieffa (który występuje też jako aktor w spektaklu teatru „Lutace”), „Tango” wymaga przeszkoków od komizmu do stylu gry dramatycznej i to z dezynwolturą, do której nie przyzwyczaił nas teatr francuski.

KONKURS LITERACKI PKZO

Rozstrzygnięty został jubileuszowy, bo z okazji 20-lecia istnienia Polskiego Związku Kulturalno-Oświatowego (PKZO) w Czechosłowacji, konkurs literacki. Nie przyniósł on żadnej rewelacji, nie odkrył także nowego talentu. Sześcioosobowe jury, m. in. w osobach L. Brożka z Cieszyna, W. Nawrockiego z Katowic, H. Jasiełka i J. Rusnoka z PKZO, nie przyznało ani pierwszej ani drugiej nagrody. Za najlepsze uznano onowiadanie Wł. Sikory, autora dwu tomyków poetyckich, pt. „Dzieciak”. Wyodrębniono też zbiorek tego samego autora „Słowa z ziemi”. Ponadto nagrodę III stopnia otrzymał leśnicze Wilhelm Percecz za cykl wierszy „Smutne miasto” a wyróżnienia: K. Pierza (za obratek sceniczny — „Zwycięże ludowe na Śląsku”), A. Wawrosi (za program estradowy „Katastrofa”) i Gustaw Percecz (za opowiadanie: „Pożegnania i powroty”). (er)

POLONICA

ROZSTRZYGNIECIE KONKURSU „ODGŁOSÓW” I ZNP

Jury konkursu na pracę nauczycielską „Największy sukces i największa porażka w mojej pracy zawodowej”, ogłoszonego przez redakcję „Odglasów” i Zarząd Okręgowy Związku Nauczycielstwa Polskiego w Łodzi, po zapoznaniu się z pracami, które napłynęły na konkurs postanowiło przyznać następujące nagrody:

I NAGRODĘ (3 tysiące złotych) JOZEFOWI SZARAKOWI (kryptonim - nazwisko i adres nie podane).

II NAGRODĘ (radioodbiornik) KINDZE GA-SEK (pseudonim Cytra), Łódź, ul. Brzozowskiego 4 m. 17.

III NAGRODĘ (adapter i komplet płyt do nauki języka obcego) AURELIJ JANKE, Pabianice, ul. XX-lecia PRL nr 3 m. 93.

NAGRODĘ SPECJALNĄ — 2-tygodniowy pobyt w Związku Radzieckim przyznano HANNIE ZWIERZCHOWSKIEJ, Łódź, ul. Kilińskiego 141. Wreczenie nagród odbędzie się dnia 21 bm. o godz. 16 w Klubie Nauczyciela, Piotrkowska 173.

JERZY LESSMANN

Wrażenia i refleksje z poznańskiego festiwalu

Jeszcze mam przed oczyma estradę auli uniwersyteckiej w Poznaniu wypełnioną blisko trzytysiosobowym zespołem chóralnym i orkiestrowym, a w uszach brzmi pełna ekspresji muzyka „Harnasiów” Karola Szymanowskiego. Tym imponującym akordem zakończył się IV Festiwal Państwowych Wzrostów Szkół Muzycznych w Poznaniu. Prócz gospodarzy, uczestniczyły w festiwalu szkoły z Gdańska, Katowic, Krakowa, Łodzi, Warszawy i Wrocławia, a więc wszystkie nasze wyższe uczelnie muzyczne. Ogółem 1100 wykonawców i 120 pedagogów. Był to więc bez wątpienia przegląd imponujący, dający pojęcie o poziomie szkolnictwa muzycznego w Polsce.

Festiwalu poznańskiego odbywa się co pięć lat. Są podsumowaniem dorobku artystycznego i sukcesów pedagogicznych wyższych szkół muzycznych. Nie eliminując szlachetnego współzawodnictwa,

zrezygnowano ze wszelkich oficjalnych ocen, z nagród i laurów. Festiwale są więc przeglądem, a nie konkursem.

IV Festiwal poświęcony był występowi studenckich zespołów kameralnych, chóralnych i symfonicznych. W programie imprezy wyłączone zostały decyzje: „Praca w zespołach kształtuje bowiem zbiorową odpowiedzialność, wyraża społeczną postawę młodego muzyka, a tym samym jest niezwykle ważnym czynnikiem w formowaniu się osobowości artystycznej”. Też zawarła w tej deklaracji rozwinął w rozmowie ze mną profesor PWSM w Warszawie, wybitny pedagog, dyrygent i wirtuoz — Kazimierz Wikomirski.

Otóż zdaniem mego rozmówcy trzy czynniki wpływają na ostateczny efekt działalności szkół muzycznej. Pierwszym czynnikiem są sami pedagodzy, ich osobo-

wość artystyczna i autorytet. Na drugim miejscu profesor stawia uzdolnienia i osobiste dyspozycje studentów, wreszcie jako trzeci czynnik — atmosferę szkoły, organizację pracy i warunki w jakich odbywa się nauka i ćwiczenia studentów. Efekt działalności szkoły, określenie, czy jest ona dobra, czy zła, a więc pośrednio i świadectwo wartości samych pedagogów, może dać tylko występ zespołu danej szkoły. Studenci mogą być zdolni lub specjalnie niezdolni. Poniżej solisty nie daje więc wyobrażenia o szkole. Dopiero gdy zespół, a więc grupa ludzi, wykazuje wysoki poziom artystyczny, można powiedzieć z całą pewnością, że poziom ten jest odbiciem właściwej działalności szkoły, a co za tym idzie pedagogów.

Profesor Wikomirski był jednym z trzech referentów podczas podsumowującej festiwalu narady pedagogów. Mówił o kameralistyce jako jednej z dziedzin odtworczosci muzycznej. Podczas naszej rozmowy nawiązał i do tej sprawy.

W warszawskiej PWSM, dla przykładu — ciągnął profesor — działa ponad 20 zespołów kameralnych. Studenci garną się do tego rodzaju muzykowania. Dlaczego? Zo stał wreszcie przełamany prześąd, iż solista jest artystą

wyższej rangi od członka zespołu kameralnego. Do niedawna panowała w szerokich kregach społeczeństwa opinia, że jeśli ktoś nie ma wielkiego talentu i nie stać go na laury wirtuozów, to zawsze może jeszcze grać w zespole kameralnym. Nie błędnie! Właśnie kameralistyka wymaga od muzyka najwyższego wysiłku i talentu.

Przykładem niech będą wybitni wirtuozi, chętnie muzykujący w zespołach. Dopiero taki zespół kameralny daje pojęcie o pięknie tej muzyki i o jej wielkich wartościach artystycznych.

Pytał mnie pan o ogólne wrażenie z IV Festiwalu. To pytanie kłopotliwe. Sam jestem w sytuacji pedagoga, który przedstawił swój dorobek, którego uczniowie wystąpili na festiwalowej estradzie. Powiem więc ogólnie: biegający festiwal w zestawieniu z poprzednimi wykazał bezsporny postęp w szkolnictwie muzycznym. Składnie i na poziomie były bez mała wszystkie produkcje. Od czasu zaś do czasu, śmiem to twierdzić — powiato wielką sztuką! W nawiązaniu do kameralistyki, dodam, że większość zespołów kameralnych była bardzo dobra, a kilka — świetnych.

Takie zdania słyszało się wszędzie wśród licznego grona pedagogów, wśród przed-

stawicielei Zarządu Szkół Artystycznych Ministerstwa Kultury i Sztuki i wśród gości zagranicznych, przybyłych w dość licznej grupie na festiwal. Byli wśród nich Czesi, Węgrzy, Jugosłowianie, Bułgarzy i Niemcy — przedstawiciele tamtejszych szkół muzycznych i ministerstw kultury. W kuluarowych, prywatnych rozmowach, przebił jał podziw dla osiągnięć i nadszydzaj wysokości poziomu naszego szkolnictwa muzycznego. Chwalili i zazdrościli nam.

Na tym ogólnym tle warto podkreślić doskonały poziom łódzkiej PWSM, zdecydowanie plasującej się w czołówce krajowych szkół muzycznych. Łódzianie, których cechował zdrowy krytycyzm i skromność był szczęśliwi, z różnych stron, przyjmując gratulacje. Podobał się w Poznaniu nasz chór pod dyrekcją doc. Zygmunta Gzelli i orkiestra symfoniczna pod batutą prof. Tomasza Kiesewettera. Podkreślano ambitny program i mistrzowskie wykonanie. Dobrze zostały przyjęte zespoły kameralne.

A więc pełny sukces! Szkoła tylko, że poza gronem pedagogów łódzkiej PWSM, braw i owacji dla łodzian i ciepłych słów gratulacji nie wysłuchał przedstawiciel Wydziału Kultury Prezydium Rady Narodowej, których zabrakło w Poznaniu.

RAY BRADBURY

MARSJANIE

Stukanie do drzwi nie ustawało i dlatego pani Tt. otworzyła je. W progu stali czterej mężczyźni ubrani w przybrudzone mundury.

— O co chodzi? — spytała.

— Pani mówi po angielsku? — zdziwił się jeden z nich.

— Chyba słyszycie. O co wam chodzi?

— Pani jest Marsjanka. Taką nazwą określamy mieszkańców tej planety. Jesteśmy z Ziemi. Nazywam się kapitan Williams, a to członkowie mojej załogi. Wyładowaliśmy przed godziną, a pani jest pierwszą osobą, którą tu spoikaliśmy.

— Marsjanką? — zdziwiła się. — Ta planeta nazywa się Tyrr.

— Tyrr! Śmiesznie się nazywa. Proszę mi jednak powiedzieć skąd pani zna angielski?

— Nie znam angielskiego. Porozumiewam się z wami za pomocą telepatii. No, a teraz żegnajmy panów!

— To jakieś nieporozumienie. My przylecieliśmy z Ziemi...

— No dobrze — powiedziała ze złością. — Spytałem czy pan Tt. zechce się z wami zobaczyć.

Czekali paląc nerwowo pa pierosy. Słyszeli jak na górze kobieta z kłmą rozmawia. Wreszcie głosy zupełnie ucichły. Kapitan spojrzał na zegarek. Minęło już prawie pół godziny, a nimi w dalszym ciągu nikt się nie interesował. Wreszcie kobieta zeszła po schodach na parter.

— Przykro mi, ale pan Tt. jest tak zajęty, że nie ma dla was ani chwili czasu. Mam jednak pewną propozycję. Z pewnością pan Aa będzie mógł się wami zająć. To niedaleko stąd, nad błękitnym kanałem.

Ale i Aa również nie miał dla nich czasu, dlatego kapitan wraz ze swoją załogą ruszył w stronę miasta. Ludzie przechodzili obok nich zupełnie obojętnie. Mieli na twarzach maski złote i srebrne, maski uśmiechające i wykrzywione złością.

Przybywszy z Ziemi byli już bardzo zmęczeni, a zmęczenie to potęgowała obojęt-

ność z jaką spotkali się tu na tej dalekiej planecie.

Kiedy zobaczyli idącą w ich stronę małą dziewczynkę — zatrzymali się.

— Słuchaj — powiedział kapitan — chciałbym z toba porozmawiać. Jesteśmy z Ziemi. Wierysz mi?

— Tak — powiedziała dziewczynka. Pochyliła się i zaczęła wiercić palcem dziurę w piasku.

— Zbudowaliśmy statek i przylecieliśmy tutaj...

— Nikt tu jeszcze nie był z Ziemi — powiedziało dziecko.

— Oczywiście, skąd wiesz?

— To telepatia! — krzyknęła dziewczynka i pobiegła się bawić.

Przybywszy znowu zostali sami. Byli głodni, zmęczeni, a tu wszyscy odnosili się do nich z przerażającą obojętnością, jakby ich zupełnie nie było. Żadnego powitania. Żadnego zainteresowania. Po prostu nic! I to było najgorsze.

W najbliższym domu mieszkał pan H. Akurat spieszył się na wykład i przyjał ich z roztargnieniem. Był to wysoki, chudy mężczyzna z niebieskimi grubymi szkiełkami na złotych oczach.

— Musicie wypełnić pewne formularze i podpisać je — powiedział. — No dobrze. Proszę, oto klucz. Pójdźcie do końca tym korytarzem i otworzycie ostatnie drzwi. Tam przemocujecie, a następnego dnia porozmawiamy, a może nawet zajmie się wami pan Xx, No, idźcie już!

Drzwi sali do której weszli zatrzęsły się za nimi, a sala pełna była kobiet i mężczyzn. Światło przedostało się poprzez ściany, w których nie było odcien. Jakichś mężczyzn podszedł do nich.

— Nazywam się Uu — powiedział.

— Williams — przedstawił się kapitan. — Przylecieliśmy z Ziemi.

Uu poklepał kapitana po ramieniu.

— To miło widzieć znów kogoś z Ziemi. Ja też jestem z Ziemi, i pani Rr, pan Ww, pan Qq.

— Naprawdę? — zdziwił się kapitan. — Ależ to niemożliwe. Przed nami nikt tu jeszcze nie dotarł! Z jakiego kraju jesteście?

— Z Tuierol — powiedział Uu — już dawno przyleciałem na swoim duchu.

— Ja przybyłem z Jupitera...

— Ja z Saturna...

— Jupiter, Saturn... — powtarzał kapitan zupełnie zdezorientowany.

Nagle podniósł się wielki wrzask. Wszyscy zaczęli wpatrywać na ich cześć przewracając stoły i krzesła. Po chwili ucichł jak na komendę. Stali wokół pustych stołów. Ich złote oczy błyszczały, ciemne cienie pojawiały się na policzkach.

— Jesteśmy z Anglii — powiedział kapitan.

— Co to jest Anglia?

— Jesteście z Ziemi i nigdy nie słyszeliście o Anglii?

— Ziemia jest morzem i nie ma tam nic oprócz morza — padła odpowiedź.

— Ależ wy wyładacie jak Marsjanie. Ziutoocy, brzoziwi...

— Ziemia jest dżunglą, niczym więcej tylko dżunglą — powiedziała pani Rr.

Kapitan rozejrzył się uważnie dokoła. Zobaczył żółte błyszczące oczy, które zważy się i rozszerzały. Przestraszył się i cofnął w stronę załogi.

— To nie jest żadne przyjęcie — szepnął. — To nie jest powitanie zorganizowane na naszą cześć. Popatrzcie na ich oczy, posłuchajcie ich!

— Gdzie my jesteśmy, kapitanie? — spytał jeden z astronautów,

— W domu wariatów!

Siedzieli w milczeniu przy drewnianym stole. Czasem któryś z nich próbował otworzyć srebrne drzwi, ale bez rezultatu.

— Oni myślą, że my też jesteśmy nienormalni. Dlatego nas tutaj przysłano — powiedział kapitan patrząc na siedzących pod ścianami Marsjan.

Nagle siedzący w rogu Marsjanin zaczął wypuszczać z ust niebieskie płomyki, które przemieniły się w nagą kobietę, migotliwą i polyskującą.

— To są halucynacje, choroba Marsjan. Oni myślą, że my również jesteśmy umysłowo chorzy. Nie wierzą, że naprawdę przylecieliśmy z Ziemi.

Rano wszyscy znowu wyglądali normalnie. Nie interesowali się zupełnie przybyszami z Ziemi.

Kapitan i jego załoga długo musieli czekać zanim pan Xx otworzył im drzwi. Ma-



Fot. F. Jams — AKT.

ska na jego twarzy zaopatrzona była w trzy uśmiechy.

— Pan myśli, że jesteśmy wariatami — powiedział kapitan.

— Nie wszyscy, nie wszyscy, tylko pan, kapitanie. Pozostali „członkowie pańskiej załogi“ cierpią na udzielające się im od pana halucynacje.

— Naprawdę pan mnie o to podejrzewa?

— Tak. Ludzie przychodzą do mnie z różnymi objawami choroby. Leczę ich, takie jest moje zadanie. Na przykład niektórym kobietom węże wpełzają z uszu. Po pobyciu u mnie węże znikają.

— Dobrze, w takim razie niech pan nas leczy, niech

pan nas bada — zdenerwował się kapitan.

— Choroba, na jaką pan cierpi jest niespotykanym u mnie przypadkiem... — mówił psychiatra Xx.

— Ależ ja mogę pokazać panu naszą rakietę! — krzyknął kapitan.

— Tak, tak, przypuszczam. To jest nieuleczalne. Biedny człowieku, jedynym lekarstwem dla ciebie jest śmierć — psychiatra wyjął pistolet.

— Stój! Nie strzelaj!

— Po twojej śmierci ty i twój przyjaciele znikną — powiedział psychiatra i wystrzelił. Kapitan upadł. Astronaucci z krzykiem rzucili się na psychiatrę. A ten strzelał w ich stronę póki ostatni z astronautów nie upadł na podłogę.

— Dlaczego oni nie znikają — mówił do siebie psychiatra. Chodził i kopał leżące przed nim ciała. — Dlaczego oni nie znikają? A może ja jestem zarażony halucynacją? To przeniosło się na mnie. Teraz i ja jestem szalony.

Uśmiechnięta maska spadała z jego twarzy. Biegał, dokoła, potykając się o ciała leżących astronautów.

— To jest nieuleczalne, to jest nieuleczalne! — krzyczał. Nagle przystawił do swojej skroni pistolet i wystrzelił.

Psychiatra Xx leżał obok martwych ciał astronautów, przybyszów z dalekiej Ziemi.

Przekład:
ROMAN GORZELSKI



Lewym okiem

NIEMCY TEŻ STRASZYLI, A ŻYJĄ!

Taksówkarze łódzcy mają swoje ulubione miejsca postojów, i mają takie, które omijają z zacięłą niechęcią. Ileż to już razy po wyjściu z wilgotnego tunelu na Dworcu Kaliskim ustawiałem się w kolejce przed ustępiami, licząc że coś nadjedzie. Kolejka topniała, bo coraz to ktoś tracił cierpliwość, chwytając walizki i biegnąc do tramwaju. Zostawałem sam. Od tramwaju do domu też mam kawalek, więc z bagażem bez taksówki ani rusz. Dziś, gdy zabudowały się i zaludniły nowe dzielnice za dworcem, idzie się po prostu aż do ulicy Karolewskiej i łapie taksówkę, pędząc z Ostiedla Młodych do miasta. Żadna z nich do dworca nie skręci, taki zwyczaj. Niebardzo zrozumieli, ale zwyczajów nie trzeba rozumieć. Wielu kierowców pytałem o przyczynę: każdy twierdził, że na Kaliskim nie ma szans na dobry kurs. Na dworcu nie ma? Nie rozumiem.

Czasem się jednak coś trafi. Wtedy kierowca dyktuje warunki i wymyśla pasażerom, że mieszkają tam, gdzie trzeba. Byłem świadkiem nawet i takiego wypadku, że taksówkarz nie zabrał gościa z żoną i dzieckiem, bo „macie walizki,

a ja z walizkami nie weźmę“. To było w dniu 16 grudnia ubiegłego roku, w zimny, deszczowy ranek. Gość z żoną trochę prosił, trochę się zdenerwował, zapisał numer, kierowca dopowiedział bardzo precyzyjnie, że jego już i Niemcy straszili, a przecież nie zginął, tymczasem podskoczył ktoś bystry (bez walizki, bez żony i dziecka) i zjawisko rozwiało się we mgłę.

Jest taki Dekret z 4 marca 1953 roku o ochronie interesów nabywców w obrocie handlowym (Dziennik Ustaw nr 16, poz. 64). Art. 3 tego dekretu mówi: „Kto zajmując się zawodowo świadczeniem usług pobiera za świadczenie zapłatę wyższą od obowiązującej albo bez uzasadnionej przyczyny ODMAWIA ŚWIADCZENIA, DO KtóREGO JEST OBOWIĄZANY, podlega karze aresztu do roku albo karze grzywny do 5000 złotych“.

Taksówkarz zajmuje się zawodowo świadczeniem usług przewozowych. Odmawiając świadczenia — podlega karze. Ale się nie przejmuje. Pewnie i ten pan, co zapisał numer w dniu 16 grudnia, nie zrobił z tego użytku. Czy ktoś z Szanownych Czytelników się dźwi? Ja nie.

Znam panią, która pracowała w pewnej szkole na umowie zlecenia, za umówioną stawkę godzinową. Umowę odnawiano co rok. Po dwóch latach, gdy po raz trzeci miało zawrzeć umowę, wpisano do niej — powołując się na nowe przepisy — stawkę niższą. Pani nie podjęła pracy. Kierownik szkoły przyrzekł wówczas wobec świadków, że on tę sprawę załatwi, stawka zostanie wyrównana do poprzedniej, warunki pozostaną niezmiennymi — ale przecież praca nie może tymczasem leżeć, niechże pani zrozumie.

Pani zrozumiła i przeprosiła jeszcze cały rok, ładzono ciepło ponawianymi obietnicami (przy świadkach) wyrównania zaległości. Po roku poradziła się prawników w zespole adwokatów

(adres znany) i za ich poradą wystąpiła z powództwem cywilnym do sądu przeciwko kierownikowi, podając świadków. To było okrągle dwa lata temu.

Na pierwszą rozprawę nie przyszedł pozwany, ani adwokat powódki. Na drugą adwokat też się nie zjawiał — przysłał zastępcę, który ograniczył się do wniosku wezwania świadka strony powodowej. Na trzeciej był świadek, ale adwokat znów nie przyszedł, a świadek nie przestuchano. Natomiast sąd oddał powództwo, jako skierowane przeciwko kierownikowi, a nie przeciwko szkole. Tenże adwokat (nazwisko znane), z którym powódka spotykała się — i to z trudem — tylko w zespole, z miłym uśmiechem przyrzekł, że w następnej instancji zjawi się już na pewno na rozprawie, że wszystko jest w porządku, mimo że kierownik szkoły właśnie zmarł, że oczywiście należy złożyć odwołanie i wpłacić trzyście złotych.

Pani wpłaciła i złożyła odwołanie. To było w styczniu 1966 roku.

I już. I przez cały rok martwa cisza. I dotychczas nie wiem, czy zespół adwokacki zajmuje się zawodowo świadczeniem usług, czy Dekret z 4 marca 1953 roku ma tu jakiegokolwiek zastosowanie, czy klient takiego zespołu ma prawo — zapłaciwszy odpowiednią tarify — oczekiwać za to wyłącznie pomocy przy zredagowaniu powództwa, okraszanej ewentualnie miłym uśmiechem starszego pana, co nie lubi chodzić do sądu?

Jedno wiem: taksówkarze i wszyscy inni mogą się nie przejmować. Tylko maniakom sprawiedliwości i rzetelności postępowania może przecieć przyjść do głowy dochodzenie swych praw na drodze, obliczonej na dziesięćlecie.

CWIEK